Nr. 2. Lwów, dnia 1. Lutego 1881 Rok IV.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 MAREK, 5 ZŁR., 5 RS., 12 FRANK.

INSERATY PRZYJMUJĄ SIĘ PO ZWYKŁEJ CENIE.

WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA.

SPRAWY GALIC. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Dnia 3 Stycznia odbyło się posiedzenie Wydziału Tow. łow. Przewodniczył Exc. hr. Włodzimierz Dzieduszycki, obecni: Dr. Michał Gnoiński, wiceprezes Tow. łow., członkowie: hr. Fredro Edward, Łoziński Józef, hr. Potocki Artur, Rieger Władysław, książę Sapieha Władysław, hr. Starzeński Leopold, Zontak Władysław.

Po przyjęciu protokołu z ostatniego posiedzenia wzięto pod obrady sprawy „Łowca". W celu zapewnienia Pismu szerszego współpracownictwa, przyrzekli poruszenie tej rzeczy hr. A. Potocki na Ukrainie, Podolu, Wołyniu i w Królestwie, a książę W. Sapieha w W. Księstwie Poznańskiem. Upoważniono redaktora „Łowca" i sekretarza Tow. łow. do wypłacania w razie koniecznej potrzeby honoraryów za dostarczane Pismu artykuły do wysokości pewnej, oznaczonej sumy. Polecono redaktorowi bliżej porozumieć się z Towarzystwem rybackiem w Krakowie w celu zawiązania ścisłego z niem stosunku. Wniosek redaktora, iżby oznaczoną była komisya złożona z dwóch członków Wydziału, mająca wspierać pomocą swą redakcyę i nadzorować jej czynności, zmodyfikowano na podstawie wyrażonego dla Redakcyi uznania o tyle, iż ona tylko w razie koniecznej potrzeby lub wątpliwości ma się porozumiewać i naradzać z hr. Leopoldem Starzeńskim i księciem Władysławem Sapiehą. Polecono Redakcyi usuwać z Pisma, o ile to będzie możliwem, wszelką polityczną barwę. Następnie oddano przedłożone przez Redaktora „Łowca" sprawozdanie z wszystkich ważniejszych motywów, dążących do uregulowania łowiectwa krajowego i uzupełnienia Ustawy łowieckiej, poruszanych w rocznikach „Łowca", Drowi M. Gnoińskiemu i hr. A. Potockiemu do rozpatrzenia się w niem, i zdania sprawy na najbliższem posiedzeniu. Hr. Edward Fredro motywował wniosek swój ochrony słonek na wiosnę twierdząc, iż wraz z nim znaczna liczba wytrawnych myśliwych w kraju przejęta jest przekonaniem potrzeby takiej ochrony słonki, że słonka nie może być policzoną do ptaków ściśle przelotnych, gdyż ona lęgnie się u nas i pozostaje w części, że wreszcie nie wymaga ochrony jej na ciągu, lecz radby, aby na nią z psami i nagonką na wiosnę nie polowano. Hr. Potocki czyni uwagę, iż Ustawa nie może rozróżniać rodzajów polowania. P. Rieger przeciwny wnioskowi, bo słonka istotnie ochronioną jest w porze lęgu, bo z powodu odlotu tego ptaka nie będzie z wymaganej ochrony korzyści, radzi wreszcie, by w tej sprawie odnieść się jeszcze do Towarzystw łow zagranicznych, zwłaszcza niemieckich z zapytaniem, czy gdziekolwiek taka Ustawa istnieje, i jest ściśle przestrzeganą. Pan Łoziński nadmienia, iż w przygotowanym dla „Łowca" przekładzie monografii słonki barona Thüngena znajduje ustęp, w którym tenże znakomity myśliwy i autor wspomina, że kwestya ta niejednokrotnie była poruszaną, że wszakże zawsze upadała. W końcu

wnosi Przewodniczący, aby na podstawie powszechnej opozycyi przeciw temu wnioskowi, i na podstawie Ustawy, która słonkę już od 20 Kwietnia ochraniać poleca, przejść nad wnioskiem hr. Fredry do porządku dziennego. Wniosek Przewodniczącego przyjęto wszystkimi głosami prócz wnioskodawcy.

Sprawę wynadgradzania szkody przez zwierzynę zrządzonej odroczono do następnego posiedzenia z powodu nieobecności referentów Dra F. Krattera i Dra E. Roińskiego.

Wniosek hr. L. Starzeńskiego ustalenia delegatów Tow łow. po powiatach odesłano do Walnego Zgromadzenia.

W końcu oznaczono termin zwołania Walnego Zgromadzenia Tow. łow. na porę walnych obrad Tow. gospodarczego lub kredytowego.

Po wyczerpaniu porządku dziennego zamknął Przewodniczący posiedzenie z uwiadomieniem, iż wkrótce znowu zwołanem będzie w celu załatwienia sprawy wynadgradzania szkód przez zwierzynę zrządzonych i przygotowania materyału dla dobra Walnego Zgromadzenia.

Wpisali się w poczet członków Tow. łowieckiego.

Borkowska Helena hr.
Branicka z Potockich Julja hr.
Kalinowski Jabłonowski Marcin.
Kruszewski Henryk.
Kruszewski Wincenty.
Łoś Emil hr.
Poletyło Franciszek hr.
Postruski Włodzimierz.
Rosenstock Jan.
Serwatowski Teodor.
Skorupczanka Jadwiga hr.
Walter Józef.
Wołkowicki Hipolit.

O RASACH CHARCICH I POLOWANIU Z CHARTAMI NA UKRAINIE

PRZEZ

Marcelego hr. Tyszkiewicza.

(Dokończenie).

Nie czekając na szczwacza p. Gr. i nie przejeżdżając rudki, ruszyliśmy dalej. Już ujechaliśmy ze dwie staje, albo i więcej w tym samym prawie porządku, tylko Wasyl z chartami zajął miejsce Karpa, a ja miałem rudkę po prawej stronie, kiedy p. Gr. krzyknął z całej siły: „Hajże go!“ tak, że aż na siodle podskoczyłem, patrzę, przeszło sto kroków od nas idzie zając na szczołb we właściwych sobie podskokach, krzyknąłem: „Puszczaj!“ a do p. Gr. mówię: „na górę! żeby widzieć“. Tymczasem suki lotem błyskawicy dobiegały zająca. Przy samem dojściu zając się poprawił, ale Szaszka tak uderzyła zająca, że ten aż biały swój brzuszek przy zwrocie pokazał, Szabla także była blisko, bo po obrocie obie się uniosły, Szabla prędzej się zwróciła, i jeszcze przed samą rudką palnęła mu obrót, a sama się uniosła, zając przysiadł, i przez rudkę jak ptak przeleciał, ale Szaszka już szła za nim, i nim do połowy góry doszedł, dała mu znowu obrót. Zając poszedł popod kosohor, a wtedy stało się, że Szaszka wyżej, a Szabla niżej szła zająca. Teraz Szaszka użyła swego nadzwyczajnego sztosu jakby czuła, że trzeba się w obec Wołyniaków popisać, po obrocie szła ze dwadzieścia kroków wolnym skokiem, żeby powietrza zaczerpnąć, a potem nagle jakby jej kto jeszcze cztery nogi przyprawił, lotem błyskawicy dopędziła zająca i tak go silnie trzepnęła, że sama o jakie pięćdziesiąt kroków uniosła się, a zając cztery kozły wywrócił, aż Szabla musiała się wstrzymać i zająca chwyciła. Potem jeszcze dwa zające uszczuliśmy, jednego w tej samej pozycyi, w której w obrotach trzy razy rudkę przechodził, i nakoniec nad samą rudką był wzięty. Trzeci zając pomknął w czystym, równym stepie dość daleko, bo się już miało pod wieczór, i tu trzeba było widzieć, jak suki dochodziły prędko, chociaż się zdawało, że szły wolnym skokiem, a dopiero jak były na pięćdziesiąt kroków od zająca, tośmy nie mogli dojrzeć, kiedy go prawie obydwie uderzyły, aż zając formalnie siadł, a one musiały się wstrzymać kilkadziesiąt kroków, potem każda z kolei dała kilka obrotów, w końcu Szabla zchwyciła po takim obrocie Szaszki, że zając jak odurzony skakał. Pan Gr. był literalnie oczarowany sukami. Żeby go w dobry humor wprowadzić, obiecałem mu dwoje szczeniąt, myślałem, że mnie z radości udusi, tak całował i ściskał. W obec tych suk ten zając był tylko prawdziwym graczem, który w obrotach najlepiej się wywijał, bo rączością nigdy im sprostać niemógł. Przy poszczuciu tych trzech zajęcy nie potrzebowaliśmy z miejsca się ruszać, i tylko między jarami wyjechaliśmy na górę, żeby nie stracić z oczu żadnego poruszenia suk, tak zawsze z dobrymi chartami bywa, trąbka jest wcale zbyteczną. — Przepraszam pana Ubysza, że mu tej trąbki zapomnieć niemogę, przekonuję się, że w Galicyi złe mają wyobrażenie o prawdziwem amatorstwie charciego polowania.

W opisie charta pana Ubysza takie słowa są użyte, że trudno myśliwemu je zrozumieć, np.: „lędźwie szerokie tak, iż całe krzyże, pomimo wygięcia kości pacierzowej są płaskie“. Co to ma znaczyć? — nierozumiem! Sądzę, iż mówi tu o charcie rasy psowej, bo ukraińska i podolska rasa nie egzystuje, chociaż całą Ukrainę i Podole znam jak moją dłoń, a nigdzie o takich niesłyszałem. Chart psowy jest garbaty, jakimże sposobem wygięcia kości pacierzowej są płaskie? Potem następuje: „W ogóle chart rasy ukraińskiej niebywa nadmiernie długi“. Nadmiernie długi oznacza, że jest dość prze-

wlekły, kiedy przeciwnie jest on najkrótszy ze wszystkich chartów. Najbardziej jednak mnie dziwi orzeczenie: „że u charta ukraińskiego skok jest krótszy ale grubszy, jak u innych“. Jeżeli p. Ubysz przyznaje, że ukraiński chart jest najrączszy, to twierdzenie takie jest nieuzasadnione, bo właśnie cała przewaga jego jest w wyższości zadu i dłuższym jak u innych skoku, a nodze nie grubej, ale szerokiej i płaskiej. Zresztą opis charta ukraińskiego, jak go nazywa p. Ubysz, jest niedostateczny, iżby dobrze można sobie wyobrazić jego postać. Czytając o tym smyczu chartów hr. Romana Potockiego, który się tak podobał p. Ubyszowi nie mogłem się domyśleć, jakiej one są rasy? Nakoniec wcale się z tem nie zgadzam, żeby poprawiać charty galicyjskie rasą psową, lepiej sprowadzić czystą rasę do Galicyi i ją rozpowszechnić, ale nie krzyżować. W Galicyi nie ten dobry chart, który obraca, ale ten, który chwyta zająca. — Słyszałem o tem nieraz, i przykładem to stwierdzam. Przysłano mi z Ukrainy dwa charty, z których jeden był wnukiem Szabli, nazywał się Pomyk, długoogony, w piątem polu, bardzo ładny i dobry pies, jak u nas nazywają sztosowy. — Polowaliśmy u p. M. Podobno ta część Galicyi nazywa się Podolem i jest pagórkowatą, były cztery smycze chartów, jeden z trójki złożony, reszta po parze. Szczuto pierwszego dnia 16 zajęcy, 9 złapano; moimi chartami szczuto siedm zajęcy, i ani jeden nie uciekł. Pan M. prowadził polowanie bardzo dobrze, po wojskowemu, linija, chociaż złożona z kilkunastu koni, zawsze równo manewrowała, zarzuciłbym chyba, że komenda była za głośna, lecz trudno było o inną, bo byli i tacy, którzy pierwszy raz z chartami jeździli. Rozkaz był następny: jeżeli zając pomknie na prawem skrzydle, to z prawego puszczą dwa smycze chartów, a jeżeli z lewego, to przeciwnie. Ja należałem do prawego. Pamiętam rozstawiono nas drogą od krzyża, i na dany znak ruszyliśmy rolą. Po chwili słyszę: „Hajż!“ i widzę, że prawo-skrzydłowy puścił charty, więc i ja moje puszczam, następnie wypatruję zająca, i widzę go może o dwieście kroków przed nami, jak się na pagórek wybiera. Nim na pagórek wjechałem, już zając w obrotach do nas wracał w takiem oddaleniu, że pięć chartów zdawały się pędzić prawie razem, następnie zając z roli wyszedł na ubitą drogę, a wtedy Pomyk z hurtu się wysunął, i taki mu dał obrót, że aż przysiadł, a siwy pies p. M. wziął go wtedy. Pan M. podjeżdża do mnie i mówi: „A co! widzisz, jaki mój siwy! mówiłem, że tak będzie!“ Ja mu na to ani słowa nie odrzekłem, ale myślę sobie: poczekaj bratku, gdy raz drugi poszczujesz, to ja moich nie puszczę, a sam wtedy prowadziłem smycze. Nie ujechaliśmy sto kroków, jak z pod samych chartów pana M. zając pomknął, porwały się za nim rączo, ale żaden go ani liznął. Podczas tej pogoni pomknął drugi zając tententem koni wypłoszony, puściłem moje charty, które prześlicznie go na nieoranym stepku biły, i nakoniec przy samym koniu pana M. wzięły. Później wzięły też wybornie dwa zające, jednego po drugim, jednego szczególnie w mistrzowski sposób. Kiedy zsiadłem z konia, aby odebrać pierwszego krzyknął ktoś z tyłu: „Hajż!“ Porwał się Pomyk, minął konie i charty, a że to było na roli, wziął zająca bez obrotu, nim wsiadłem na konia. Muszę tu jeszcze przytoczyć jedno jego prawdziwe *coup de maitre.* Zjeżdżaliśmy właśnie do bardzo długiego i przykrego parowu, wtem na lewem skrzydle poszczuto zająca, który wybrawszy się z roli na wązką smugę ścierni, odsadził się ze sto kroków od chartów i tak szedł na dół, ja z panem K. staliśmy na prawem skrzydle, i kiedy już nie tylko charty ale i konie zanurzyły się w parowie, puszczam psy, a pan K. krzyknął: „Co robisz!“ bo na drugiej stronie parowu był gęsty lasek. — „Niech idą“, odpowiedziałem, a tymczasem psy poszły rolą. Myśmy nawet z miejsca nie ruszyli. Kiedy tak patrzymy na drugą stronę parowu, śledząc którędy wyjdzie ów zając, widzimy, jak wychodzi sam Pomyk z zającem, i w naszych oczach daje mu jeden obrót, drugi, a za trzeciem dojściem porwał go w pysk, może o pięćdziesiąt kroków od lasu. Ostatni zając był szczuty przy samym domu. Tu Pomyk najwybitniejszy dał dowód, że był wnukiem Szabli. Wszystkie charty, były wraz z nim puszczone, zając z roli przez drogę i posiewem defilował, Pomyk wypadł z hurtu, i taki mu dał obrót, że zając cztery kozły wywrócił, Pomyk się uniósł, a Rudka chwycił zająca. Rudka był to drugi mój chart, ale nieszczególny. Gdy Pomyk się utopił, to i Rudkę darowałem. Pomyk był morągowato-srokaty z białem, czem odróżniał się od reszty chartów ciemnego koloru. Takie to charty bywały, a nawet są jeszcze u nas. Są jeszcze takie miotu Sokołowskiego u dziadka mego J. Ch., który pomimo lat przeszło ośmdziesięciu konno, nie zważając na deszcz i szron, trzy razy na tydzień poluje. Ma teraz dwa partyzanty, a mają być tak znakomite, że gdy kilku z paniczów wzięło burdę, reszta daleko Tatarynówkę objeżdża. Ale nie jest to łatwą rzeczą u nas dostać charty. Przygodzki, nim dostał czworo szczeniąt od Sokołowskiego, może się dłużej o nie starał jak Jakób o Rachelę. Za to gdy pierwszy raz szczuł nimi z Sokołowskiego chartami, Łapcap pokazał się takiem arcydziełem, że aż Sokołowski całą noc miał gorączkę, i wykrzykiwał: „Łapcap! Łapcap!“ że po doktora musiano posyłać. Łapcap i Szastka, był to jeden smycz długo-ogonych, a Scinaj i suka Murza, drugi kucych. Po tych to psach były i moje, miałem i ja Łapcapy i Murze, a Szaszka i Szabla były córkami sławnej Szastki Przygodzkiego. U nas najczęściej dają charcięto nazwę ich dziadów, babek, ojców i matek, które sobie sławę zyskały. Od wychowania szczeniąt zależy, żeby chart był dobrym, zaczyna się od słodkiego mleka, najdrobniejszej kaszki, aż się przechodzi do grubej. Raz w tydzień daje się zabielony mlekiem barszcz, często zmieniając jedzenie, tylko broń Boże szczeniętom kwaśnego mleka, bo zmarnieją na biegunkę, a jak raz znędznieją, to już mała nadzieja. Sześcio-miesięczne szczenięta już można do osypki przyzwyczajać. U nas chartom nigdy nóżek baranich nie dają z obawy nosacizny. Bierze się sucha solona ryba, tarań, albo sudaki, suszy w piecu, tłucze i ten proszek dodaje się do osypki. Podczas polowania, gotują się całe zające, i tą wodą zaparza osypkę, z którą się mięsza rozdrobione mięso zajęcze.

Emulacya, zakłady, wyrobiły u nas amatorstwo charciego polowania. Przygodzkiego Łapcap, Szastka i Ścinaj, dały burdę prawie całej Ukrainie. Murza była fantastyczką, ale jej syn także Murzą nazwany, był pierwszorzędnym partyzantem, tak jak matka, kucy, czarny z morągowatemi nogami. Moja Szaszka i Szabla były partyzantki. Szaszka w szóstem polu jeszcze była pierwszą na Ukrainie, nigdy szczeniąt nie miała, za to Szabla dużo znakomitych psów wywiedła. Utrocz był jej synem, a ojcem Łapcapa. Kiedy taka suka miała mieć szczenięta, to wizyt było bez końca, a przyjaciół bez liku. Żeby nie nużyć czytelnika, kończę moje opowiadanie epizodem myśliwskim o sławnym charcie Boruchu p. Antoniego Szaszkiewicza rasy *pur sang* tureckiej i o graczu zającu. Naocznym świadkiem tego zdarzenia nie byłem, ale podam je według kilkakrotnego opowiadania p. W., a słyszałem nieraz i od p. A. Sz., amatora i znawcy chartów, jak powtarzał, że nie miał charta nad Borucha. Zdarzyło się to w rodzinnym majątku p. Antoniego, w Biczowej w czasie, kiedy Boruch był w sile wieku

i sławy swojej. Po polowaniu pewnego wieczora w późnej jesieni, kiedy kilku przyjaciół p. Antoniego w najlepsze opiewało sławę Borucha przy kielichach napełnionych starym węgrzynem, wchodzi kozak i mówi, że jakiś szlachcic koniecznie z panem chce się widzieć. „Wprowadzić go“, zawołało razem kilka głosów i w parę minut stanął szlachcic u progu i powitał obecnych słowami: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“. — „A cóż to pan brat ma za interes do mnie?“ odezwał się p. A. — „Jestem Grzybowski, herbu Podkowa, i mam część moją dziedziczną we wsi N., a słysząc o sławie charta pańskiego Borucha, przyjechałem umyślnie, żeby z panem zrobić zakład, że dam takiego zająca, który od niego ucieknie“. „Trzymam“, wykrzyknął p. A., i umowa stanęła, że, jeżeli zając ucieknie, to szlachcic dostanie 10 korcy pszenicy, a jeżeli Boruch go złapie, to szlachcic będzie przez miesiąc włodarzem u p. A. Wypito mohorycz i szlachcic poszedł spać. Był to sobie szlachcic zaściankowy, zwany teraz przez Moskali odnodworcem. Są u nas całe wsie z takiej szlachty złożone i choć Moskale po 1831 r. papiery popalili, buta szlachecka u nich została. Różnią się oni od chłopów tem, że są wiary katolickiej, i noszą kołnierzyki od koszuli wykładane z wywiązaną chustką, jakoteż formą czapki. Już bardzo rano szlachcic naglił do wyjazdu bojąc się, żeby zająca bydłem z miejsca nie spędzono, chociaż wszystkich swoich uprzedził, że jedzie do Biczowej i w jakim zamiarze. Ruszyli więc wszyscy bardzo rano, ale jak to jechać trzy mile z chartami wprost do miejsca, więc chociaż szlachcic tak radził, to go nie usłuchano i jechano wprawdzie wprost, ale przez pola i rozjazdem. Na smyczy był Boruch i suka także dobra. Po drodze pomknął zając i nie długo chodził, potem na stepku pomknął drugi, chodził dłużej, był ślicznie bity przez charty i nakoniec wzięty. Wtedy szlachcic poruszył się na kobyłce, czapkę na bakier poprawił i z pewną miną zawołał: „No, teraz to już zakład wygrałem, ale po szlachecku postąpiłem i upominałem, żeby nie szczuć po drodze“. Tymczasem już dojeżdżano do miejsca. Szlachcic podjechał do pana A. i palcem wskazał: „tam on zawsze leży“. Trzeba wiedzieć, że na parę dni przedtem padał deszcz przez kilka dni, ziemia zatem jeszcze była wilgotna, szczególnie rola. Gdy już blisko podjechali, zobaczyli, że w miejscu, które szlachcic wskazywał, było suche jeziorko wielkości pół morga z kilkunastu kępkami i kilku krzakami łoziny, zupełnie prawie bydłem wypasionemi, w końcu zaś jeziorka była szeroka miedza, która oddzielała pole oziminy od jarzyny i ciągnęła się trzy wiorsty aż do samej wsi, do lewady kowala, gdzie były gęste łozy. Tu szlachcic popatrzył, że śladów dzisiejszych nie było, i mówi: „Chwała Bogu, jest w domu, teraz proszę dobrze uważać bo pójdzie tą miedzą“. Rozpatrują się wszędzie, ale zająca nie ma, wtem szlachcic pokazuje palcem, a oczy mu mało nie wyskoczą. Patrzą i widzą zająca, jak brzuchem na miedzę wyłazi. Wtedy p. A. krzyknął: „Puszczaj i hajż!“ Gdy go charty zobaczyły, zając już szedł w podskokach miedzą. Boruch swoim zwyczajnym sztosem do niego doleciał, aż p. A. krzyknął do szlachcica: „A co?!“ Ale w tejże samej chwili szlachcic jeszcze głośniej odkrzyknął: „A co!“ bo gdy się zdawało, że Boruch dopędzając zająca palnie mu obrót, zając jakby mu kto skrzydła przyprawił w mgnieniu oka od psa się odsadził może na sto kroków. Boruch poprawił się, doszedł go, potem z zającem, jakby dwie iskry elektryczne, jeszcze z 50 kroków razem przeleciał i dał mu taki obrót, że sam się uniósł, a zając przy zwrocie nazad biały brzuch pokazał, aż szlachcic krzyknął: „Przysięgam Bogu, że to pierwszy obrót od lat czterech, jak go znam“. Tymczasem zając tą samą miedzą nazad wracał, koło suki przeszedł; pan A. kazał zjechać z miedzy, żeby nie przeszkadzać i wszyscy z ciekawością patrzyli, co dalej będzie. Suka poprobowała dojść go, nie mogła, Boruch ją minął i dał drugi obrót. Zając znowu do wsi szedł i znowu tak, jak pierwszym razem palnął go Boruch, i w ten sposób zając wziął 30 obrotów, a zawsze na tej samej miedzy, a chodził z jednaką siłą. Suka tak była zmęczoną, że się położyła, aż zaczęto wołać: „Cóż to będzie!“ Tylko p. A. był spokojny i ciągle powtarzał: „Stać na miejscu!“ Wtem zając wychodzi na wązką smugę roli, i środkiem niej idzie, a była to rola przy samem jeziorku, zkąd go poszczuto, pies za nim, a, że zając zmiarkował, iż mu lżej niż psu na roli, więc przy końcu roli wraca nazad, bez obrotu. Pies ruszył za nim, a kiedy dobiegli do miedzy, zając znowu się zwrócił. Wtedy pies także wziął na rozum i w prawo przeszedł na kraj jeziorka, a szedł prawie na równi z zającem, ale o 20 kroków odstępu. Tak defilują do końca roli, zając znowu zwraca, pies także, jeden rolą, drugi stepkiem zupełnie wolno idą. Zdawało się, że to ze zmęczenia, tymczasem to tylko pies nabierał oddechu, bo przy końcu roli Boruch jak się pchnie, tak prawie jednym susem przeleciał te 20 kroków — i zając był już w jego pysku. Nieprawdopodobnem się wyda, co następnie opowiem: ale zapewniano mnie o prawdziwości. Zając miał jeszcze tyle siły, że chcąc się wydrzeć trzy kroki Borucha z sobą wlókł, tak, że świadkowie na trzeci jeszcze dzień po polowaniu, zwidzając to miejsce widzieli ślady pazurów zająca i charta, a trzeba dodać, że Boruch był ogromnym psem. Szlachcic zakład przegrał, ale że sławy Boruchowi przysporzył, więc nietylko był zwolniony z zakładu, ale jeszcze 10 korcy pszenicy dostał. Potem dopiero rozpowiadał, że tego zająca przez cztery lata szczuła cała okolica, że na tej samej miedzy rozstawiano po jedenaście smyczy chartów, a najlepsze już pod samą wsią i różnie go szczuto, i w oczy i z boku, a nic nie pomogło, zawszę się trzymał miedzy i uciekł, a gdy raz kowal, który miał być niezawodnym strzelcem na samym rowie chybił do niego, to wszyscy inaczej tego zająca nie nazywali, jak Djabłem. Dziś p. A. Szaszkiewicz jest w Galicyi i zapewne ten epizod będzie czytać, niechże będzie tyle łaskaw i powie nam, jak to było? a przytem prosiłbym o skrytykowanie mego ustępu o rasach charcich.

P. S. Pan Ubysz wspomina o suhakach na Ukrainie. Słyszałem i ja o nich będąc jeszcze dzieckiem od bardzo starych ludzi, którzy także od swoich dziadów o nich słyszeli, a i tamci musieli tylko z tradycyi o tem wiedzieć. Suhak była to stepowa sarna z racicami, podobna do niej, a nawet może zwykła nasza sarna, która się trzymała stepów przy łozach dnieprowych w Chersońskiej gubernii. Kozacy zapewne, a najprędzej wilki wytępili je do szczętu. Co się tyczy szczucia sarn, to w tym względzie nie zgadzam się z podaniem pana Ubysza. Uszczułem cztery sarny w mojem życiu, to pewne że z 500 kroków nadzwyczaj odsadza się od chartów, ale potem zwalnia, widocznie brak jej oddechu, a byle chart pyskiem trącił, już leży.

KTÓRE RYBY CHRONIĆ?

PRZEZ
Dra M. NOWICKIEGO.

W wodach Galicyi poznano dotąd 56 gatunków ryb. Są one w porządku systematycznym następujące:

I. Rzęd. **Ryby kostnoskieletowe** (Teleostei, Knochenfische).

Z skieletem kostnym i parzystemi pletwami, okryte łuską, gęba i skrzele zwyczajne.

a) Podrzęd. **Ciernioopromienne** (Acanthopteri s. Anarthropteri. Stachelflosser).

Promienie pletwowe cierniste, pęcherz pławny zamknięty.

* Pletwy brzuchowe zwyczajne, udzielne.

Pokr. Okuniowate. Ryby piersiopletwe.

○ Pletw grzbietowych 2.

1. Okoń. Perca fluviatilis L. Barsch, Flussbarsch.
2. Sandacz. Lucioperca sandra Cuv. Zander, Schill, Fogos.
3. Sudak. Lucioperca volgensis Nordm.
4. Czop wielopromienny. Aspro Zingel Cuv. Zingel. Zindel.
5. Czop małopromienny. Aspro Streber Sieb. Streber.

○○ Pletw grzbietowych 1 długa

6. Jazgar. Acerina cernua L. Kaulbarsch, Schroll.
7. Sirotka. Acerina tanaicensis Güld. (rossica Cuv.).

Pokr. Kostolice. Rybki piersiopletwe, z wielką głową.

8. Głowacz niepręgowany. Cottus gobio L. Koppen.
9. Głowacz pstropletwy. Cottus poecilopus Heck.
10. Głowacz szczupłousty. Cottus microstomus Heck.

** Pletwy brzuch. zastąpione z każdego boku kolcem.

Pokr. Makrelowate. Małe rybki brzuchopletwe.

11. Kolka. Gasterosteus aculeatus Bl. Stichling.

*** Pletwy brzuchowe cale zrosłe w lejek.

Pokr. Babkowate. Rybki piersiop. i wielkog. jak głowacze.

12. Babka nagowieczkowa. Gobius gymnotrachelus Kessler.
13. Babka rzeczna. Gobius fluviatilis Pall.
14. Babka łuskowieczkowa. Gobius melanostomus Pall.

b) Podrzęd. **Członkopromienne** (Malacopteri s. Arthropteri. Weichflosser, Gliederflosser).

Promienie pletwowe członkowane.

Gardłopletwe (Jugulares); Zamkniętopęcherzowe (Physoclisti s. Anaranthini).

Pletwy brzchowe osadzone na gardle. Pęcherz płciowy zamknięty, jak u ryb ciernioopromiennych.

Pokr. Wątłuszowate. Pletw grzbietowych 2, jak u ryb okuniowatych; u podbródka wąsik.

15. Miętus. Lota vulgaris Cuv. Rutte, Quappe.

Brzuchopletwe (Abdominales. Bauchflosser). Otwarto-pęcherzowe (Physostomi).

Pletwy brzuchowe osadzone na brzuchu. Pęcherz pławny otwarty.

Pokr. Sumowate.

16, Sum. Silurus glanis L. Wels, Waller.

Pokr. Karpiowate.

A) Usta twarde z brzegiem ostrym, bo pokryte naskórkiem zrogowaciałym: Twardouste. (Temnochili).

17. Świnka. Chandrostoma nasus L. Nase.

B) Usta mięsiste grube: Miękkouste (Pachychilli).

a) Pletwa grzbietowa dłuższa od podogonowej: Karpiowate właściwe.

\+ Z 4 wąsikami, zęby trójszeregowe.

18. Karp. Cyprinus carpio L. Karpf.
19. Dubiel. Carpio Kollari Heck. bastard z karpia i karasia.

\+ + Bez wąsików, zęby jednoszeregowe.

20. Karaś. Carassius vulgaris Nils. Karausche, Gareisel.

b) Pletwa grzbietowa i podogonowa z krótką podstawą.

\+ Z wąsikami: Brzanowate.

○ Wąsików 2 u kątów ust, usta przodowe.

* Zęby jednoszeregowe.

21. Lin. Tinca chrystis Ag. Schleihe.

** Zęby dwuszeregowe.

22. Kiełb. Gobio fluviatilis Cuv. Gressling, Gründling.

○ ○ Wąsików 4, usta dolne, zęby trójszeregowe.

23. Brzana. Barbus fluviatilis Ag. Barbe.
24. Brzanka. Barbus Petenyi Heck. Semling.

\+ + Bez wąsików: Płocicowate.

○ Zęby jednoszeregowe.

* Linia naboczna cząstkowa.

25. Siekierka. Rhodeus sericeus Pall. Bitterling, Bitterfischel.

** Linia naboczna cała.

26. Wyrozub. Leuciscus wyrozub Güld.
27. Płotka biała Leuciscus rutilus L. Rothauge, Plötze, Rotten.

○○ Zęby dwuszeregowe.

28. Płotka czerwona. Scardinius erythrophthalmus L. Rothfeder.
29. Jaź. Idus melanotus Heck. Nerfling, Aland.
30. Kleń. Squalius cephalus L. Döbel, Aitel, Dickkopf.
31. Jelec. Squalius leuciscus L. Hasel, Häsling, Zinnfisch.
32. Strzebla. Phoxinus rivularis Pall. Pfrille, Elritze.

c) Pletwa grzbietowa krótsza od podogonowej.

\+ Wystający koniec dłuższej szczęki dolnej zapada w zagłębienie międzyszczęki, zęby dwuszeregowe: Uklejowate.

○ Pletwa grzbietowa przed początkiem podogonowej.

* Linia naboczna cząstkowa.

33. Błyskotka. Alburnus (Leucaspius) delineatus Heck. Mottke, Sönnling, Sonnenstreicher.

** Linia naboczna cała.

34. Ukleja. Alburnus lucidus Heck. Uckelei.
35. Piekielnica. Alburnus bipunctatus Schusslaube, Schneider.
36. Boleń. Aspius rapax Pall. Schied, Rapfen.

○○ Pletwa grzbietowa nad poczatkiem podogonowej.

37. Ciosa. Pelecus cultratus L. Sichling, Ziege.

\+ + Łuski na grzbiecie przed pletwą rozgarnięte t. j. dróżką nagą wzdłuż linii środkowej ciała rozdzielone: Leszczowate.

Zęby dwuszeregowe.

38. Picuś. Blicca Björkna L. Blicke, Güster.

Zęby jednoszeregowe.

39 Leszcz. Abramis brama L. Brachsen, Bley.
40. Sapa. Abramis Sapa Pall.
41. Siniec Abramis ballerus Cuv. Pleinzen, Zoppe.

42. Cyrta. Abramis vimba L. Russnase, Zärthe.
Pokr. Łososiowate. Z pletewką tłuszczową za pl. grzb.
+ Pletwa grzbietowa długa.
43. Lipień. Thymallus vexillifer Ag. Aesche, Asch.
+ + Pletwa grzbietowa krótka.
○ Głowa krótka.
44. Pstrąg, Trutta fario L. Forelle.
45. Łosoś. Trutta salar L. Lachs.
○○ Głowa przedłużona.
46. Głowacica. Salmo hucho L. Huchen.
Pokr. Szczupakowate.
47. Szczupak. Esox lucius L. Hecht.
Pokr. Piskorzowate.
+ Ciało obławe.
* Wąsików $^6/_4$.
48. Piskorz. Cobitis fossilis L. Bissgurre, Schlampitzger.
** Wąsików $^6/_0$.
49. Sliz. Cobitis barbatula L. Bartgrundel, Schmerle.
+ + Ciało i głowa ściśnione, wąsików $^4/_2$.
50. Koza. Cobitis taenia L. Dorngrundel, Steinpitzger.

Niedopletwe (Apodes. Ohnflosser); otwarto-pęcherzowe (Physostomi).
Pletw brzuchowych brak. Pęcherz pławny otwarty, jak u Brzuchopletwych.
Pokr. Węgorzowate.
51. Węgorz. Anguilla fluviatilis Ag. Aal. Flussaal.

II. Rzęd. **Ryby kostołuskie** (Ganoidei, Schmelzfische).
Z skieletem chrząstkowym, okryte 5 szeregami tarcz kościanych, gęba i skrzele zwyczajne, pletwy parzyste obecne.
Pokr. Jesiotrowate.
* Pysk rozszerzony, zaokrąglony.
52. Jesiotr. Acipenser sturio L. Stör.
53. Szyp. Acipenser schypa Güld.
** Pysk dzidowaty.
54. Czeczuga. Acipenser ruthenus L. Sterlet.
55. Sewrjuga. Acipenser stellatus Pall. Sternhausen.

III. Rzęd. **Ryby smoczkouste** (Kręgouste, Cyclostomi, Saugmäuler).
Skielet chrąstkowy, gęba smoczkowata, pletw parzystych brak, po bokach szyi po 7 otworków skrzelowych bez wieczka skrzelowego.
Pokr. Minogowate.
56. Minożek. Petromyzon Planeri Bl. Kleines Naunauge.

(Ciąg dalszy nastąpi).

STARY MYŚLIWIEC.

(Wiersz poświęcony hr. Kazimierzowi Wodzickiemu).

Co tam, co tam mnie staremu,
Pleść koszałki, pleść opałki!
Eh! ja strzelam po dawnemu
Nie z pistonów, ale z skałki.

A czy kulą czy lotkami,
To tam dla mnie wszystko jedno,
Przed dzikami, niedźwiedziami,
Lica moje nie pobledną.

Ha! mój Panie! spytaj-no się,
Ile żubrów w Białowieży,
Ile wilków w Kampinosie
Z mej rusznicy trupem leży.

Ale co wam prawić o tem!
Dzisiaj młodzież pono taka,
Że bez jadła pod namiotem
Nie wyruszy na szaraka.

Za mych czasów mości panie
Bigos w torbę, gdańskiej flaszka,
A tam słota, niewyspanie,
Mróz, zawieja — wszystko fraszka!

A to dzisiaj wielkie łowy
Chowanego zbić rogacza,
Albo w dzień Bartłomiejowy
Marcowego uszczuć gracza.

Strasznie długie polowanie.
Od dziesiątej do południa,
I siadają na śniadanie,
I szampana pęka studnia.

Potem patrzaj co się święci!
Leżą kołem na murawie,
Pomęczeni i z nóg ścięci,
Jakby z Bartkiem po rozprawie.

Hej Rejtanie mój kochanku,
Co cię znają Naliboki,
Z łowców każdy brat w zaścianku
Od Korony het za Troki,

Gdybyś spojrzał z pod mogiły
Na ten zbitków szereg długi,
Ach! czy miałbyś tyle siły,
By nie skonać po raz drugi!

Karol Brzozowski.

JELEŃ

PRZEZ

Alexandra Ubysza.

WSTĘP.

Zanim przystąpię do szczegółowego opisu tego króla naszych zwierząt, niech mi czytelnik pozwoli dać obraz miejsca, w którem on u nas jedynie przebywa — naszych Karpat. Mickiewicz opiewając puszczę Białowieską wyrzekł:

„Któż zbadał puszcz litewskich przepastne krainy
Aż do samego środka, do jądra gęstwiny?“

W istocie wątpić należy, iżby się znalazł zuchwalec wdzierający się w tajniki puszczy leśnej, przekraczający jej straż groźną, gąszcze i błotne topiele. Toż do tej chwili nie zbadano jeszcze jej wnętrza dokładnie. Nawet mieszkańcy osad śród lub obok puszczy położonych, nawet strażnicy rządowi od lat wielu zaciekający się w jej głąb, strzegący zwierzostanu, a szczególnie prawie jedynie w niej przebywającego żubra, nie dotarli do owych mateczników, których grozę wieszcz nasz z taką siłą określa. Śród puszcz polskich, Kampinoskiej i Łomżyńskiej na Mazowszu, Niepołomickiej pod Krakowem, Zielonej w Ostrołęckiem, Kozienickiej w Sandomierskiem, i owymi niegdyś olbrzymimi borami, ciągnącymi się między rzekami Wisłą i Nidą, puszcza Białowieska iście między niemi królową. Tamte albo już wycięte lub znacznie przetrzebione straciły charakter swój groźny i imponujący, ona zaś pozostała w stanie dziewiczym, niemal pierwotnym. Wszystkie te puszcze, nawet Białowieska rozlegały się lub rozlegają na płaszczyźnie, bardzo mało lub wcale nie wzgórzystej, noszą przeto nazwę puszcz nizinnych, i nikt sobie inaczej puszczy nie wyobraża, jak tylko płaską, bagnistą, a cała jej groza leży w ogromie, niedostępności gąszczów, w olbrzymich kształtach drzew i w przepaścistych, bezdennych trzęsawiskach. Nazywamy więc ogromne przestrzenie ziemi, bezludne, czyto lesiste jak w Białowieży, czy bezdrzewne jak w węgierskim Ketskémeth, lub nawet ową słynną piaszczystą Saharę — ogólnem mianem puszczy. Jakąż nazwę mamy dać całemu pasmu właściwych Karpat, może na sto mil wzdłuż całego kraju naszego się ciągnących, bezludnych w całej swej długości i kilkumilowej szerokości, porośniętych olbrzymimi borami? Lubo one piętrzą się swymi skalistymi szczytami, to jednak nazwałbym je puszczą górską, tak jak tamte słusznie puszczami nizinnemi zowiemy. Są to najwyższe nasze góry polskie. Rozpatrzmy się w nich, pomijając nader liczne ich odnogi zaludnione, których w tej chwili bliżej rozpoznawać nie mamy potrzeby, wspinajmy się śmiało na szczyty właściwych Karpat, gdzie stale zamieszkał król zwierząt naszych łownych — jeleń. Znam bliżej jedynie tę ich część, która oddziela ziemię Sanocką od Węgier, nosi ona miano Bieszczadów, w języku zaś ludowym Beskidów. W ogóle całą ziemię Sanocką możnaby podzielić na trzy części, na podgórską, górską i szczytową, nazwijmy je raczej stopniami, ta bowiem połać kraju podnosząc się stopniowo dotyka chmur najwyższymi szczytami swych gór. Pierwszy stopień — podgórze poczyna się od nizin Dobromila i Chyrowa, a z biegiem rzeki Strwiąża dosięga wsi Krościenka (stacyi kolei Łupkowskiej), gdzie nizina owa ścieśniła się w długi jar. Szybki prąd Strwiąża wskazuje, iż wody jego spływają z wyżyn, tu widocznie rozpoczyna się kraj górski. Łożysko rzeki objęte skalistymi brzegami, w niektórych miejscach podobnymi do ruin jakiegoś olbrzymiego starego zamczyska. Jedna część jego ścian od wieków walczy z gwałtownym, niszczącym żywiołem, zczerniała już i porosła mchem, druga stoczyła się w koryto rzeki, piętrzą się więc w niem bezładnie olbrzymie głazy, i tworzą tamy, katarakty, przez które przewalają się bystre fale Strwiąża szumiąc groźnie i pieniąc się wściekle. Po obu stronach rzeki rozlegają się gęste świerkowe i jodłowe lasy, podnoszące się aż do stromych szczytów, których całość ongi jakaś katastrofa wulkaniczna rozerwała, a w wyłom ów wpadły z całą gwałtownością wody z źródlisk górskich tryskające. Nie jeden wiek pracował nad wyżłobieniem przepaścistego koryta rzeki. Rwące to fale Strwiąża, z nienasyconą żądzą ciągnie on od wieków dzieło niszczenia, nie mogąc się zaryć w głąb z powodu skalistego gruntu, dzielnie opierającego się nawale wód, z potężną siłą rzucił się ku brzegom rwąc i podmulając je zaciekle i rozszerzając coraz bardziej swe koryto, w którego całej długości oprócz niedawno zbudowanej drogi żelaznej wije się murowany gościniec, poprzecinany licznymi mostami, zbudowany około r. 1825. To się zwęża owo łożysko rzeki, to znowu rozszerza tworząc niewielkich rozmiarów doliny, na których rozsiadły się małe sioła, jak Terło, Smolnica i t. p. We wsi Berehy zwracają się wody Strwiąża w ostrym załomie ku wschodowi, i płyną już w postaci nie tyle ponurej, więcej słońcem opromienionej. Tu już góry się rozstępują, kraj staje się równiejszym, a wnet rozściela się przed okiem naszem daleko bo blisko w milowej rozciągłości, w koło wysokiemi górami otoczona dolina z miasteczkiem Ustrzyki dolne i kilku wsiami. Dolina ta wszakże nie leży na podgórzu, owszem jest ona prawdziwie górską, znacznie wyżej od Dobromilskiej i Chyrowskiej położona. Ustrzyki dolne są niejako bramą wstępną do gór, śród których może na 8 kilometrów w głębi rozstrzyga się los wód tej części Sanockiego, Strwiąż bowiem porwawszy w swe łono wody potoków z północnej strony Żukowa (oddzielnego pasma gór) wytryskujących, wpada do Dniestru, i z nim się toczy do Czarnego morza, potoki zaś z południowej strony Żukowa i innych gór wypływające bieżą do Sanu, a z nim do Wisły, więc do morza Baltyckiego; Stefkowa może być słynną działem wód tej okolicy. Porzućmy jednak wygodny do Liska i Sanoka wiodący gościniec, raczej nagłym zwrotem na wschód, prawdziwą górską, stromą drogą, nie bardzo starannie utrzymaną, wspinajmy się na szczyt Żukowa, tą drogą bowiem acz niewygodną, ale zato nader malowniczą dosięgniemy szczytu Bieszczadów. Otóż jesteśmy na wyżynie stromego Żukowa. Tu widok otwiera się przepyszny! Gdzie okiem zasięgniesz, widzisz góry i góry, to wyższe porosłe lasami, to niższe bezdrzewne, na których najczęściej rozścielają się orne pola, dostępne jedynie z powodu cudownej jakiejś wytrwałości ich właścicieli. Siół ztąd nie ujrzysz, rozsiadły się one u podnóża gór, ukryły się w jarach wyżłobionych przez wody z ich wnętrza wypływających potoków. Szczytów krocie, gdzieniegdzie tylko ostre,

stożkowate, żaden baniastej postaci, każdy zarysowuje się wyraźnie, a wszystkie jakoby bałwany rozhukanego morza piętrzą się nad sobą. Groza przejmuje na widok tej całej okolicy, powierzchnia jej jakby skutkiem gwałtownego wybuchu wulkanów poszarpana, pokrajana, pełna bezdennych przepaści, chropowata, zasiana olbrzymimi głazami, nigdzie nie dojrzysz wdzięcznej dla oka równiny, wszędzie ślady gwałtownych przewrotów, siły niszczącej, pradawne to chyba pole walki z sobą potężnych żywiołów, a straszną ona być musiała, gdy wieki nie zdołały zatrzeć jej śladów. Tam w dali ponad szczytami gór stromych, ale znacznie niższych od Żukowa, na którym stojąc widzisz, jak czubałki ich u nóg twych pełzają, rysują się w dwóch przeciwnych stronach dwa dominujące pasma gór, jakoby olbrzymie wały forteczne. W stronie południowej — to Otryt, zaś w północno zachodniej-Magóra. Dziś one znacznie od siebie oddalone, ale przed wiekami bliższemi były, gdy San pośród nich bieżący nie wyrył sobie jeszcze tak obszernego koryta z uszczerbkiem Otrytu, którego stopy podmywając, rwie jego brzegi tworząc odmiały, wysepki małe, gdzieniegdzie doliny, na których rozłożyły się sioła górskie, długim szeregiem się ciągnące. Koryto rzeki wije się w nieskończonych załomach, które odejmują rozległy widok, a mianowicie nie dozwalają dostrzedz szczytów Bieszczadów. Z miejsca, na którem obecnie stoimy, podążyć możemy pieszo, lub na malutkim sławnie trzęsącym wózku góralskim, żegnając szumiący San, przepaścistą drożyną nad brzegiem potoka, mogącego służyć za przewodnika, albo wreszcie na skrzydłach lotnej fantazyi — do szczytnej dziedziny jelenia. Owa dziedzina króla zwierząt naszych — to świat inny, zaczarowany, w którego niedostępnym wnętrzu zamieszkały bóstwa leśne, wyparte z puszcz nizinnych stukiem topora ścinającego olbrzymie drzewa, które były ich siedliskiem i z tego powodu lud je zwał ołtarzami. Otóż już staje przed okiem naszem ów szczyt potężny w białą szatę przystrojony miejscami, jakoby białe obłoki porozrzucane na ciemnym stropie niebios — to śniegi niestopniałe mimo skwarów letnich słońca. Co raz bardziej zbliżamy się ku niemu, już blado-błękitne tło ogólnego zarysu ciemną przybrało barwę, już ona zieloną się stała, z przeróżnymi odcieniami, wychodzącymi z grup różnorodnych drzew, jasny to późno rozwijające się jawory, ciemniejszy to buki, czarny zupełnie to żałobne świerki. Oto już stoimy śród puszczy olbrzymiej, przepaścistej, najeżonej skałami, poprzerzynanej istnemi czeluściami piekieł. Któż odważy się wtargnąć zuchwale w jej wnętrze, wszak tam wieczna, czarna ścieli się noc, głucho tam i pusto, tylko ucha dosięga jakiś tajemniczy szmer, to potok toczący swe wody po skalistem dnie, dąży on do Sanu, a z nim po długiej wędrówce zdąży do morza. A przepaści i potoków tysiące tam, któż je zliczy, kto opisze?

Wstąpiliśmy na jakiś otwartszy szczyt, u stóp naszych rozciąga się mała dolinka, jakby obrazek ujęty w ramę, utworzoną z przepaścistych stoków gór, prawie w koło ją otaczających Prześliczna to dolinka dziko romantyczna, porośnięta, bujnemi trawami i ziołami, środkiem jej wije się wężykowato potoczek, a spad jego musi być gwałtowny, bo szumi głośno. Zdawałoby się, że owa dolinka niedostępna, ale oto przy małej grupie olbrzymich olch pojawiły się trzy jelenie, dwie łanie i rogacz. — Krasny rogacz z przepysznym wieńcem na głowie. Którędyż przyszły — zaiste dziwne, chyba skacząc z wierzchołków, boć przecie nie ze stromych przepaści przybyły! Przy spadzie potoka w przepaść wysuwa się z pomiędzy gąszczu drzew dwułokciowej może szerokości skalna smuga, na niej ścieżka wydeptana nie stopą ludzką, lecz owych królewskich mieszkańców szczytów górskich. Spostrzegłszy jelenie przylgnęliśmy do ziemi, zaparli oddech w sobie, ukryci za krzakiem jałowcowym widzimy, jak żerują, a wszakże to pora przedwieczorna, w której jelenie zwykle na żer wychodzą. Łanie ciągle skubią zioła, a rogacz to skubnie, to znowu głowę podnosi, patrzy, słucha, wietrzy. Krząknąłem z cicha, przeraziły się, i w kilku potężnych susach znikły nam z oczów. Powstaliśmy z tego legowiska niewygodnego a nawet niebezpiecznego, nieco bowiem wychyliwszy się poza krańce prostopadłego stoku można było runąć z kilkunastumetrowej wysokości, powstaliśmy, niczego bowiem już ciekawego nie mogliśmy się spodziewać na dolince, pusto tam i głucho, nawet ptak się nie pojawi, bo tam prócz orłów, sojek i orzechówek innego ptactwa wcale nie ma.

Patrzmy więc raczej w dal, gdzieś u kresu widnokręgu wznosi się szczyt jednej z najwyższych gór Bieszczadu — Rafki, w której połowie znajduje się pas graniczny dwóch sąsiednich krajów, Galicyi i Węgier. Wszystkie wyższe szczyty Bieszczadu mają tę właściwość, iż wegetacya roślin dzieli się na nich na stopnie. Stok u dołu do pewnej wysokości porośnięty jest lasem wysoko-piennym, wyżyny już bezdrzewne, pokryte bujną trawą i ziołami, a na szczytach rosną tylko mchy, kosodrzewina, wrzos i krzew jakiś nieznanego mi nazwiska, który lud w i l c z ą j a f o r ą zowie, krzew to niski, gromadnie rosnący z drobniutkim, ciemno-zielonym liściem, z niewielkiemi, czarnemi jagódkami, do borówek czyli czernic podobnemi z tą tylko różnicą, że jagoda wilczego jaforu nie purpurowa jak borówka, lecz zielona z dwoma ściśniętemi przy sobie ziarnkami. Jagoda ta ma smak słodkawo gorzki, nie bywa przeto spożywaną. Jeden krzaczek tej rośliny ofiarowałem Muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie. Czwarty stopień znajdujący się na Bieszczadzie na najwyższych górach nie ma już żadnej roślinności, czubałki takie najzupełniej są nagie, zwykle skała ostrokończasta. Taką też łysiną jaśniała Rafka na dosyć długiej przestrzeni, a szczyt ten najeżony ostrymi skalnymi kolcami daje jej postać, jakoby jakiegoś starego zamczyska z mnogiemi wieżyczkami. Wszelkie wklęsłości na takim szczycie wypełnione są śniegiem, który według mniemania ludowego l a t u j e t. j. przechowuje się aż do nowego. Śnieg ów ogrzany promieniem słonecznym taje powoli, i ścieka w mnóstwie małych potoczków albo na powierzchni, lub podziemnymi kanałami aż do samego podnóża gór, gdzie jako źródełko na wierzch wytryska. W porze mroźnej nie znać wcale tych źródełek, lecz gdy żar promieni słonecznych w Czerwcu lub Lipcu rozgrzeje śniegi, wtedy tworzą się setki potoków toczących z szumem swe mętne wody, zabarwione właściwością gruntu, po którym płyną, stają się przyczyną powodzi, jakie bywają na Wiśle, Sanie, Dunajcu, Dniestrze i t. d., a powodzie te nazywa lud Świętojankami lub Jakubówkami, przypadają bowiem na dni tych świętych w porze upałów Czerwcowych lub Lipcowych Rychlej jeszcze tają owe śniegi, gdy spadną letnie ulewy, wtedy to góry istotnie groźny przedstawiają widok, tysiąc potoków jakoby wężów olbrzymich pełza z góry ku dołowi i spada z hukiem przerażającym, wtedyto objawia się tytaniczna siła owego żywiołu, całe olbrzymie drzewa, ogromne odłamy skał porywa potok w swe na pozór wątłe ramiona, druzgoce wszystko i unosi zaścielając niemi swe łożysko lub wyrzucając na brzegi, wymula nowe jary, albo też żwirem i odłamami drzew zapełnia dawne. Według mniemania ludowego niektóre werchy z wiekiem jakoby starcy coraz bardziej łysieją i nie dziw, ileżbo tam już spadło podobnych ulew. Spód czyli podstawa wszystkich gór w ogóle jest

skalista, mało one u podnóża, więcej dopiero u szczytów pokryte ziemią, ulewy więc szczególnie u czubałków bezdrzewnych spłukują ziemię i w mętach kłębiących się potoków unoszą ją aż do morza, zamulając nią dno morskie, więc nie jedna może śród topieli morskich wynurzająca się wyspa zawdzięcza swe istnienie szczytom polskich Karpat.

Mówiąc o ulewach i powodzi, niech mi wolno będzie zboczyć, dając obszerniejszy obraz burzy szalejącej w górach, widowiska, jakiego najbujniejsza fantazya nie zdoła sobie wyobrazić. W r. 1856 zamierzyłem zwidzić Bieszczady, wziąłem więc jednego przewodnika, i z nim od wsi Jawora wstąpiłem w Bieszczad, czyli w języku ludowym się wyrażając na Beskid Jaworczański. Późno bo już z południa wybrawszy się z domu, pierwszy raz w życiu stanąłem śród naszych Karpat. Droga była mozolna, szliśmy ścieżynką nierówną i dosyć stromą, więc często trzeba było odpoczywać. Tośmy się drapali pod górę, to znowu trzeba było zchodzić po stromej spłazinie, przekraczać liczne potoki najczęściej z skalistymi brzegami wysokimi. Już słońce zaczynało się zniżać ku zachodowi, czyli jak mój przewodnik się wyraził *„powandrowało do madiarskoho kraja“*, ciepło było, lecz nie skwarno, kroczyliśmy ścieżką pomiędzy rozłożystymi bukami, w wielu miejscach tak gęsto rosnącymi, iż konary ich splecione z sobą tworzyły jakoby sklepienie, przez które zaledwo przez jakiś mały otworek przezierał błękit nieba. Cisza była głucha, listek nawet żaden się nie poruszył, wtem nagle ponad nami, zapewne ponad całym grzbietem Bieszczadów przeciągnął silny wicher, i znowu cisza, Po chwili zaszumiały wierzchołki drzew i znów martwą przybrały postać, powtarzało się to naprzód w dłuższych, potem coraz krótszych odstępach czasu, aż wreszcie zerwał się potężny wicher od zachodu. Przedtem jeszcze przewodnik mój zapowiedział zbliżanie się tuczy, radził corychlej zejść do krętego potoka, bo pozostawszy *„pohybnem“*, zginiemy. Niestety daleko było do owego krętego wybawcy, więc wcisnęliśmy się po drodze w jakąś skalistą pieczarę, bo już całą potęgą ryknął grom i poczęły spadać zrzadka olbrzymie krople deszczu. Przewodnik rzekł: *„doszcz sia rozchodyt“*, jakoż w istocie się rozchodził, bo stopniowo przybrał postać ogromnej ulewy, a przytem błyskawice, grzmoty, szum wody, trzask łamiących się drzew i gałęzi, sprawiały iście piekielną wrzawę. Grzmot zrazu dał się słyszeć jak wystrzał działowy, ale wnet tysiącznem, coraz głośniejszem echem powtórzyły ów huk góry, wężykowate ognie błyskawic chwilami oświecały widnokrąg, to znowu grobowa zalegała ciemność. Istny sądny dzień. Miejsce, w którem skryliśmy się, była niewielka jaskinia u stoku góry, stanowiącej zarazem brzeg potoka. W jaskini tej składali dawniejsi przemytnicy tytoniu *„bakuniarze“* swój towar, gdy im niebezpieczeństwo ujęcia zagrażało. Zbójców takie jaskinie podobno nie przechowywały, niema bowiem o nich u ludu tradycyi. Jedną tylko słyszałem opowieść, iż słynny, niedawno zmarły węgierski rozbójnik Rozsa Sandor miał się przez jakiś czas ukrywać po tej stronie Bieszczadu, a nawet podobno w tej samej jaskini, w której teraz przed burzą się skryłem. Opowiadano mi również, że tenże Rozsa Sandor zakopał skarb przy stromej ścieżce dążącej na szczyt najwyższego punktu Połonin *„Hnatowym berdem“* zwanego, pod dwoma olbrzymimi głazami, nie wynurzającymi się z ziemi, lecz wolno na niej stojącymi. Skarbów tych od lat wielu poszukują chciwi łatwej zdobyczy bezskutecznie. W bieżącym roku naocznie przekonałem się o tem, widziałem tam bowiem świeży ślad ogniska, kilka olbrzymich drągów służących zapewne do podważania kamieni, i dwułokciową jamę wykopaną w miejscu łączenia się z obą sobu głazów. O Hnatowym berdzie krąży między ludem następne podanie. Za czasów jeszcze samoistności Rusi żył jakiś kniaź Hnat, rycerz śmiały i chciwy sławy, wyruszył on na boje przeciw wrogom, których tradycya nie wymienia, zostawiając w swej książęcej siedzibie młodą, niedawno poślubioną, cudnej urody małżonkę. W czasie nieobecności jego porwali ją Turcy lub może jakiś sąsiad węgierski. Opromieniony chwałą licznych zwycięstw wraca Kniaź Hnat w progi swego zamku spragniony widoku swej miłej, i nie znajduje jej, zbiera więc corychlej swoją rycerską drużynę, i lotem strzały pędzi za uwodzicielami, bo w przededniu jego powrotu spełnili tę zbrodnię. Jakoż udało mu się doścignąć ich, i stacza z nimi krwawą lecz nieszczęśliwą walkę. Wszyscy jego towarzysze polegli, on ściga unoszącego na spienionym rumaku żonę jego rycerza, dopędza, zabija go i uchodzi wraz z małżonką. Ale w ślad za nim pędzą wrogi, naprożno kieruje ucieczkę na najwyższe szczyty Połonin, widzi, iż nie ujdzie pogoni, bo już nieprzyjaciel zbliżał się ku niemu, więc w rozpaczy, pragnąc siebie i drogą mu małżonkę uwolnić od śmierci lub sroższej nad zgon niewoli, rzuca sią w przepaść najeżoną skałami. Od tego tragicznego wypadku przybrał ów najwyższy szczyt Połonin nazwę Berda Hnata. Owe szczyty Połonin nie mianuje lud tamtejszy szczytami, werchami, lecz berdami. Nazwa to widocznie nie słowiańska, niechaj filologowie dochodzą jej początku i znaczenia, czy ona jest określeniem miejsca wysoko położonego, czy też uroczyska. Podobną nazwę naszą również niektóre wsie, jak Berdegi koło Żółkwi, Berdachów przy Nowym Sączu. Lud zamieszkały w górach szczególnie usposobiony do tworzenia baśni i gadek, osnutych zwykle na jakimś tragicznem lub nawet potwornem tle, fantazya ich w tym względzie bywa zapewne podniecaną widokiem niebotycznych szczytów, bezdennych przepaści, w ogóle majestatycznemi kształtami przyrody, śród której żyją. Podobnie jak w naszych górach krążą straszne powieści, tak również w Alpach wylęgły się nie mniej przerażające o Rübazahlu, Erlkönigu i Berggejstach. Sławne skandynawskie zagi wyszły z łona gór szwedzkich i norwegskich. W górach każdy niemal szczyt, byle wysoki i skalisty, każda pieczara, których tam niemało, każdy prawie rozmiarami imponujący głaz ma swoją tradycyę, zawsze groźną i smutną. Kraj to iście zaczarowany, skoroś weń wstąpił, już duszę twoją obejmuje jakieś dziwne uczucie, jakoby wyższe natchnienie. Zanurzając się w głąb skał, ów labirynt niezliczonych załomów, przesmyków, jarów i przepaści, jakoby niedotkniętych stopą ludzką, mimowolnie obudza się w myśli nadzieja odkrycia jakiegoś nieznanego kraju, albo jakiejś odosobnionej osady, żyjącej w stanie natury, lub wreszcie jakiejś samotnej pustyni z siwobrodym jej mieszkańcem, żyjącym swobodnie śród społeczności zwierzęcej. Któż z nas w dzieciństwie nie słyszał gadki o pustelniku w głębi gór, który wtajemniczony w życie i obyczaje zwierząt, z niemi tylko obcował. — Mimo tego bywał ów pustelnik zwykle mędrcem i przyjacielem ludzkości posiadającym cudowne leki na choroby ciała i duszy. Kto przezwyciężywszy niezmierne trudności dotarł do jego pustelni, temu nie odmawiał rady i pomocy, a błądzącego śród niezmiernych obszarów puszczy, kazał orłom lub czworonożnym przewodnikom wyprowadzać na ubite i znane drogi.

Ucichła burza, niebo się wyjaśniło, księżyc w pełni uwisł nad jednym ze szczytów, dochodziły jednak ucha jakiś szum i huk, lubo wiatr wcale już nie poruszał drzew, wrzawa ta wychodziła od niezliczonych potoków przewalających wezbrane swe fale, tryskających nieraz śród miejsc, gdzie nigdy wody się nie pojawiły. Myśl ta niepokoiła nas i nabawiała obawą,

iżby schronienie nasze nagle nie zostało zalane i nie pogrążyło nas bez ratunku w rwących falach wezbranych wód. — Uzasadnioną była owa obawa, bośmy słyszeli groźny szum po nad samem sklepieniem, a tu noc czarna, w koło dzikie przepaście, ponad któremi wiedzie kręta ścieżynka za dnia straszna, w nocy niedostępna wcale. Zmoczony i przeziębły, spożywszy nie wielki zapas żywności, czuwałem noc całą, mój towarzysz zaś, chłop przewodnik, spał najsmaczniej nawet śród szalejącej burzy. Doczekawszy się wreszcie świtu wyleźliśmy jak lisy z nory. Jakiż przerażający przedstawił się nam widok! Dolinka, na której wczoraj widziałem żerujące jelenie, zamieniła się w istne jezioro, a gdy wody z niej spadną, to okaże ona zapewne zupełnie odmienną postać, zamulona, zasypana piaskiem, kamieniami, naniesionymi pniami drzew może już nigdy się nie zazieleni, nie pokryje kobiercem kwiatów i ziół, lub może po latach wielu, gdy zgniją konary drzew, użyźnią jeszcze bardziej jej grunt, i wyrosną na niej trawy i zioła, jako obfity i pożywny pokarm dla zwierząt.

W tych kilku słabych zarysach starałem się dać wierny obraz pojawów przyrody śród Bieszczadów. Dodam jeszcze w kilku słowach, że zwierzostan po tej stronie naszych Karpat jest nader ubogim. W samym jądrze, w właściwym Bieszczadzie istnieją tylko dwa gatunki zwierząt łownych — jeleń i niedźwiedź. Sarn i zajęcy wcale tu nie ma, wilk czasem tylko i to chwilowo przebywa, gdy przeleżawszy dobę lub dwie u podnóża gór, po dokonanym rozboju potrzebuje pewnego i spokojnego schronienia, zresztą gnieździ się on zwykle w lasach bliższych siedzib ludzkich celem zapewne łatwiejszego obławienia się zdobyczą. Z tego więc powodu odwidza on częściej połoniny, jak niedźwiedź, który tu rzadko się zjawia, jeleń zaś nigdy, on bowiem nie znosi widoku ludzi, wreszcie tu mógłby się spotkać z groźnym wrogiem — wilkiem, który do jego głębokich ostępów się nie zacieka. Współmieszkaniec niedźwiedź dlań nie straszny, czyż bowiem ciężki ów potwór mógłby iść w zawody z wiatronogim jeleniem! Nie często też zdarzy się niedźwiedziowi sposobność uraczenia się jeleniem mięsem, chyba wtedy, gdy który z nich w czasie rui legnie martwy od k o l c ó w silniejszego współzawodnika, lub gdy śmierć naturalna przerwie wątek jego żywota, więc z trupem się tylko spotka, żywego nigdy nie złowi. Latem gdy u podnóża Bieszczadów lub na Połoninach mnogie pasą się trzody owiec lub stada wołów, wówczas to rozkoszuje k o s m a t y b a t' k o, jak go juhasy i pastuchy nazywają, rozkoszuje wybredniś, bo złowiwszy owcę lub nawet wołu, gdy unieść ciężaru w głąb skał nie zdoła, rozdziera zwierzę, wysysa wszystką krew i porzuca je, owcę zaś unosi, a jeśli ją całą nie pożre, to resztki zakopuje w ziemi, i zgłodniały powraca do nich. Latem jedynymi stałymi mieszkańcami Bieszczadów są jeleń i niedźwiedź, w zimie pierwszy uchodzi w południową stronę Bieszczadów, do Węgier, a niedźwiedź zamieszkuje w dziuple drzewa lub w pieczarze skalnej, tam układa się i zasypia snem zimowym, czyli g a w r u j e. Wtedy puste i smutne są knieje, jakby jakiś zaklęty kraj, ciche i głuche jak stare cmentarzysko.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BIBLIOGRAFIA ŁOWIECKA.

I.

Omawiając program przyszłego działania „Łowca", wspomnieliśmy, iż będzie staraniem naszem zwrócić uwagę myśliwych na dzieła treści ściśle łowieckiej bądź to do naszej, bądź do obcej literatury należące. Aż do obecnej chwili przeciągnęły się nasze dobre w tym względzie chęci, a przyczyna tej zwłoki łatwo da się usprawiedliwić, bośmy naprzód musieli zająć się najżywotniejszemi dla naszego łowiectwa sprawami. Radzibyśmy jak najrychlej zebrać ile możności dokładny i zupełny spis dzieł łowieckich przedewszystkiem naszej literatury, a obok nich najcelniejszych obcej, i sądzimy, że tem oddamy nie małą przysługę naszym myśliwym; nim to wszakże nastąpi, pragniemy w treściwym zarysie dać im wiadomość o dziełach, których treść uważamy jako istotnie pożyteczną. W naszej literaturze dotąd nader ubogi nagromadzony jest zasób wiedzy łowieckiej w księgach, a one też nie zawsze mają istotną czy to naukową czy też praktyczną wartość, wspomniemy z kolei o wszystkich, wydając sąd oparty na dokładnej ich znajomości. — Może ów sąd streszczony w niewielu słowach nie zawsze będzie trafny, może nie każdą podniesiemy zaletę, nie każdą wytkniemy wadę, w takim razie niech czytelnik ujemność taką sprostuje, niech na pożytek całej naszej społeczności myśliwskiej zdanie swoje w Piśmie naszem wypowie. — Naszem zadaniem dostarczyć ledwie ociosanego materyału, gmach zaś będzie zbudowany ręką o wiele wprawniejszą, bo ręką zespolonej siły i wiedzy.

Rozpoczynamy od dzieła któremu nie wahamy się przyznać zasługi, iż w pracy naszej redakcyjnej było nam zawsze nader pożyteczną radą i pomocą. Z wdzięcznością wspominamy o tej owego dzieła zasłudze, a istotną jego naukową i praktyczną wartość będziemy się starali wykazać w krótkich ale ile możności dosadnych słowach. Dzieło to nosi nazwę: G o s p o d a r s t w o ł o w i e c k i e z h i s t o r y ą s t a r o ż y t n ą ł o w i e c t w a p o l s k i e g o — p r z e z *Mikołaja Reumanna*, u r z ę d n i k a d o s z c z e g ó l n y c h p o r u c z e ń p r z y k o m i s y i r z ą d o w e j p r z y c h o d ó w i s k a r b u. W a r s z a w a 1845, w d r u k a r n i S. O r g e l b r a n d a. — Stanowiło ono dwudziesty tom nader pożytecznego w swoim czasie, a dziś też nie małego znaczenia wydawnictwa pod tytułem: S y l w a n. Z b i ó r n a u k l e ś n y c h i ł o w i e c k i c h. Pojawiła się następnie osobna jego odbitka, ozdobiona na czele ryciną, wyobrażającą: „ł o w y z s o k o ł e m d o k o ń c a XVII. w i e k u", przypisana Adamowi Łęskiemu, ówczesnemu dyrektorowi dóbr i lasów. Inne ryciny w liczbie sześciu rozjaśniają umieszczone w tekscie przedmioty łowieckie. W krótkiej przedmowie przedstawia autor znaczenie gospodarstwa łowieckiego w ogólnem gospodarstwie krajowem, przyznaje, iż w opracowaniu tego dzieła korzystał z doświadczenia i wiedzy innych, ale też sam badał, praktyczne czynił doświadczenia, i owoce swej wieloletniej pracy złożył w całość na pożytek rodaków myśliwych. W obszernym wstępie znajdujemy zwięzłe streszczenie całego dzieła.

Rzecz samą dzieli autor na siedm części, mianowicie: 1. o powstaniu i rozwijaniu się łowiectwa; 2. rys historyczny łowiectwa polskiego; 3. o przyrodzie i hodowaniu zwierząt; 4. o hodowaniu zwierzyny w zwierzyńcach; 5. o sposobach łowienia i polowania; 6. o użytkowaniu ze zwierzyny; 7. o zasadach prawodawstwa łowieckiego.

Krótką tylko wzmiankę możemy zrobić o każdej z tych części, bo ramy Pisma naszego nie pozwalają na obszerniejszy wywód, z żalem powstrzymujemy się, jesteśmy bowiem przekonani, że szersze omówienie rzeczy podniosłoby o wiele wartość dzieła wobec czytelnika, i bardziejby go zachęciło do bliższego rozpatrzenia się w niem.

U wstępu części pierwszej znajdujemy subiektywne, wyobraźnią raczej wytworzone zapatrywanie na łowiectwo pierwotne. Autor z łowiectwa wywodzi początek społeczności towarzyskich, pierwotną Władzę, pierwszych bohaterów i półbożków starożytnych, rycerstwo średnich i następnych wieków, dalej daje rys nauki łowiectwa, podaje warunki do rozmnożenia zwierzyny pożądane, a ostatecznie opiera wywód swój na zasadzie! „iż gospodarstwo łowieckie jest niezbędnem, jeżeli łowy oprócz rozrywki mają przynosić korzyść i pożytek“. Pierwsza ta część jest ogólnym poglądem na rzecz, którą autor następnie szczegółowo tak pod względem historycznym jakoteż praktycznym rozwija. — Jakkolwiek nie ma w niej zwłaszcza w pierwszej połowie silnych podstaw, to jednak tu już ujmuje sobie autor czytelnika gładkim wykładem, czystym językiem i sporą wiązką praktycznych, na własnem badaniu opartych wiadomości.

Gdybyśmy chcieli obszernie zdać sprawę z części drugiej historycznej, musielibyśmy iść krok w krok z autorem po szerokiej przestrzeni ubiegłej naszej przeszłości i zacieklibyśmy się tak daleko, że czytelnik byłby zniewolony przypomnieć nam obowiązek treściwego przedstawienia rzeczy. Powiemy więc tylko, że autor sumiennie i rozlegle korzystał ze źródeł dziejowych, zarzucićby mu chyba można, iż wywiódł u Słowian pierwotnych wyłączne zajmowanie się łowiectwem, kiedy raczej głównem ich zajęciem było rolnictwo i pasterstwo, że zbyt skąpo cytuje źródła, z których czerpał, a było ich nie mało, kiedy tak rozległy i wierny lubo nie dokładny obraz z nich złożył. Mimo tyle gorliwego i sumiennego wertowania źródeł, widzi czytelnik, iż autor idąc drogą, której mu przedtem nikt nie utorował, walcząc z trudnościami, jakich przełamać nie mógł, nie wyczerpał przedmiotu, narysował zaledwie szkic, który ma posłużyć do wykończenia tak treścią jak formą wymaganiom istotnej potrzeby odpowiedniego obrazu. Widzimy więc w tej pracy jego na polu dziejowem niejasności, próżnie, brak ściśle z siebie snującego się wątku, częste powtarzanie się, nadto dalekie odskoki, co wszystko wprawdzie cechuje ową pracę jego pewną niedostatecznością, ale nie zmniejsza zasługi, bo mozolnem badaniem źródeł dał bogaty materyał, dał silną podstawę do wybudowania gmachu, w którym dziejowy rozwój naszego łowiectwa kiedyś, daj Boże wkrótce, się umieści. Podnieść tę zasługę i ocenić ją należycie jest obowiązkiem naszym, czynimy to tem chętniej, iż pragniemy, aby czytelnicy nasi sami bliżej się w tem dziele rozpatrzyć i z istotnej wartości jego korzystać zechcieli.

Niepodobna wymagać od autora, iżby z czasów dalekiej, pierwotnej przeszłości wysnuł dokładny i wierny obraz łowiectwa, przyznać mu jednak musimy, iż usiłowania jego w tym względzie były staranne, że zebrał dosyć bogaty materyał. Epoka Piastowska widocznie wiele sprawiała mu trudności, toż opis łowiectwa owych czasów i praw do niego się odnoszących nacechowany jest uderzającą niejasnością i brakiem ścisłego określenia traktowanego przedmiotu. O wiele cenniejszym jest ustęp o bożkach myśliwych, lubo i o nim znacznie więcej dałoby się powiedzieć. Następnie znajdujemy dalszy wywód historyczny łowiectwa w połączeniu z leśnictwem od panowania króla Ludwika, aż do roku 1776. Tu przedewszystkiem zarzucić autorowi wypada brak systemu w wykładzie, mięszają się z sobą mające chronologicznym porządkiem po sobie następować sprawy łowieckie z wsuniętymi epizodycznie opisami wydarzeń myśliwskich nowszych czasów lub opisem zwierząt. Twierdzenia autora nie są ani dostatecznie rozjaśnione, ani też dosadnie udowodnione, nie ma należytego określenia praw, daty ich ustanowienia i umorzenia. Czytelnik mając przed sobą lekką wzmiankę o reformie łowiectwa w skutek wynalezienia i użycia broni palnej, radby poznać bliższe szczegóły tego przekształcenia, różnicę dawnych łowów od owych, na jakie broń palna wprowadziła. Próżnia ta dotkliwie czuć mu się daje. W ogóle odczytawszy najuważniej część historyczną dzieła Reumanna, nie można sobie zestawić jakiejś choćby niezbyt dokładnej całości, nie można mieć jasnego wyobrażenia, jakiem właściwie było łowiectwo i jego ustawodawstwo w każdej z epok dziejowych naszej przeszłości. Nie ma tam ładu, wszystko pomięszane, mnóstwo szczegółów organicznie z sobą nie powiązanych, wykład nie zawsze jasny i dokładny, twierdzenia ogólnikowe bez oparcia ich na źródłach. Mimo jednak tych wad czyta się dzieło Reumanna z wielkiem zajęciem, prawdziwy, wykształcony myśliwy nie chętnie się odrywa od pięknych obrazów, nieraz nader kwiecistym stylem narysowanych, a ostatecznie wiedza specyalna po odczytaniu tego dzieła znacznie się rozszerza. Uwzględniając trudności, z jakiemi autor w zestawieniu tego szkicu historycznego walczyć musiał, musimy mu przyznać wielką w tym względzie zasługę, on bowiem pierwszy zapuścił się w ową puszczę niedostępną, on w niej drogę utorował, on ułatwił późniejszym badaczom zagłębienie się w nią, i wykrycie jej tajników.

Część trzecia całego dzieła traktuje: o przyrodzie hodowaniu i ochronie zwierzyny. Jeżeli autor w poprzednich dwóch częściach szedł naprzód niepewnym krokiem, jakoby w niezmierzonym labiryncie błąkał się bez nici przewodniej, to w trzeciej części i następnych jest jakoby gospodarzem w własnym domu, każdy kącik, każdy przedmiot choćby najdrobniejszy, każde potrzeby domu dobrze mu są znane, i na tej podstawie umie on zawiadywać i skrzętnie wszystko rozporządzić, aby w nim był ład i pożytek. Mamy tu żywy opis przyrody, sposoby hodowania i ochraniania żubra, jelenia, sarny, daniela, dzika, zająca; z ptactwa zaś: głuszca, cietrzewia, jarząbka, kuropatwy. Zwięźle, treściwie, w niewielu słowach a jednak dosadnie dał wiadomość o przyrodzonych właściwościach tych zwierząt, opisał ich życie, zwyczaje, i na tej podstawie wysnuł sposoby ich hodowania, rozmnażania i ustalania tam, gdzie ich wcale przedtem nie było. Opiera rzecz całą na własnem, długoletniem badaniu natury owych zwierząt łownych, mało zasilając się doświadczeniem obcem. Z całą dokładnością, z fotograficzną wiernością szkicuje prześliczne obrazki, od których oderwać się trudno. Tu autor zaiste jest mistrzem, tu i język jego jest gładszy, potoczystszy, jaśniejszy, tu on panem przedmiotu, władcą myśli, która posłuszna jego woli nagina się wdzięcznie idąc swobodnie do wytkniętego celu. Mógłby autor

wprawdzie dać nam bardziej szczegółową wiadomość o każdem zwierzęciu, mógłby był na obszerniejszym ształażu postawić swój obraz, ale jak często szkic drobny znamionuje rękę mistrza i nieskończenie wyższą ma wartość jak ogromne płótno wykończone bez talentu i artystycznego poczucia; tak też szkicowa charakterystyka przyrody zwierząt nakreślona przez Reumanna jest mistrzowskim rzutem badacza i znawcy. Obok jasnego i dosadnego wykładu znajdujemy tu terminologię łowiecką opartą na głębokiem znawstwie źródeł, z których ją czerpał, na wyrazownictwie ludowem, w końcu na własnem badaniu rzeczy. Szacowny to, zdrowy i gotowy materyał do zestawienia całości słownictwa łowieckiego. Jakaż szkoda, że autor na takiej podstawie nie opracował całego obszaru łowiectwa, że pozostawił próżnię, którą po nim nie łatwo kto inny równie treściwie, a z taką dokładnością i znajomością rzeczy zapełni. Nie nadmienił on o ptactwie przelotnem, zapełniającem od wiosny do późnej jesieni lasy, pola błota i wody kraju naszego, nie wspomniał o zwierzętach jak bóbr, suhak, rosomak, kozica, świstak i innych. Byłby on nam mógł niezawodnie dać wielce ciekawą i pouczającą wiadomość o bobrze i bobrownictwie w Polsce, w tym względzie wyrzekł tylko, iż zwierz ów należy u nas do wytępionych zupełnie, to wszakże nie uwalniało go wcale od obowiązku nakreślenia dziejów jego. Karpaty nasze chyba mu wcale były nieznane, kiedy nie wspomniał, że w całem pasmie jego prócz Tatrów obrał sobie siedzibę wspaniały jeleń, a śród turni tatrzańskich żyją kozica i świstak. Nie ma wzmianki o psach myśliwskich, ich rasach użytku, hodowaniu, układaniu i t. d., nie ma obszerniejszego wspomnienia i opisania broni myśliwskiej wszelkiego rodzaju, nie ma nakoniec parównania i stopniowania łowiectwa naszego, a wszakże dzisiejsze wielce się różni od niezbyt i bardzo dawnego. Dla czegóż autor ani wspomniał o słonce, na którą każdy myśliwy z najżywszą rozkoszą poluje, czemuż zaledwo w kilku słowach mówi o łowach dawnych królewskich i możnej szlachty, i tyleż wyrzekł o sokolnictwie? Co do kozicy, świstaka i sokolnictwa, wypełnili ową próżnię znakomitemi swemi dziełami Dr. M. Nowicki i hr. Kazimierz Wodzicki, któż resztę braków uzupełni? Inne narody mają dla swych myśliwych wyborne przewodniki, my dotąd nie mamy żadnego prócz Reumanna, dzieło wprawdzie w pewnym kierunku znakomite, ale niedostateczne. Gdyby to dzieło w ramach rozszerzonych i obecnym wymaganiom łowieckim odpowiednich mogło być opracowane, mieliby myśliwi nasi w niem nieodstępnego i nader pouczającego mentora w każdej potrzebie, jakiego dotąd niestety nie posiadają.

W końcu części trzeciej mówi autor: „o stosunku ilości zwierza dzikiego i ptactwa do rozległości lasu“. Cenne to uwagi, ale względne, utrzymanie unormowanego zwierzostanu zawisło od wielu względów, a szczególnie od miejscowości, przeciętna przeto chyba liczba może być wskazówką dla racyonalnego hodowania zwierzyny.

Część czwarta dzieła zawiera ustęp: „O hodowaniu zwierząt łownych w zwierzyńcach“. Daje tu autor dokładną i wyczerpującą informacyę zakładania, urządzania i utrzymania zwierzyńca. Lubo naukę tę, porównaną nawet z wzorowo urządzonymi zwierzyńcami zagranicy w dzisiejszej chwili, uważamy za dokładną, to jednak i tu możnaby wytknąć braki, któreby uzupełnić należało. Nie naszą rzeczą mówić o tem obszernie tem bardziej, iż nasze stosunki społeczno-gospodarcze wcale nie pozwalają na zbytkowe marnowanie grosza w celu zakładania niepożytecznych, w pewnej mierze wstrętnych, a już wcale zwierzostanowi naszego kraju nieodpowiednich zwierzyńców. Niech raczej knieje nasze troskliwie i umiejętnie co do zwierzyny zagospodarowane i utrzymywane staną się zwierzyńcami!

Część piąta traktuje o: „Łowach zwierząt i polowaniu“. Tytuł ów nie dosyć jasny, usprawiedliwiamy go własnemi słowami autora: „W tej części mówić będziemy o sposobach najskuteczniej używanych dla pozyskania stołowej zwierzyny, oraz wytępienia zwierząt drapieżnych“. Orzeczenie to jest zarazem usprawiedliwieniem, dla czego autor nie mówił o zwierzętach drapieżnych w części trzeciej. Pragnął on widocznie tym podziałem zwierząt łownych wskazać, iż właściwym celem łowów jest tępienie zwierząt drapieżnych, szkodliwych. — W ustępie tym niepodobna uczynić jakiegokolwiek zarzutu, rzecz cała oparta jest na wytrawnem badaniu i doświadczeniu, przedstawiona jasno i plastycznie. Sposoby polowania, przyroda zwierząt drapieżnych, środki tępienia ich z taką dosadnością podane, iż możnaby dodać chyba uznane i stwierdzone rezultaty badań nowoczesnych. W monografiach zwierząt łownych, umieszczonych w rocznikach „Łowca“, czerpaliśmy szczodrze z tego bogatego źródła rodzinnego, i mamy przekonanie, żeśmy tem naszym myśliwym nie małą oddali przysługę.

Część szósta zatytułowana: „O użytkowaniu z zwierzyny.“ W tym ustępie mówi autor: 1. o porze właściwej do polowania; 2. O pozyskaniu korzyści trwałych i odpowiednich zwierzostanowi; 3. o trzebieniu, obielaniu, ociąganiu, osmużeniu, rozbieraniu oraz patroszeniu zwierzyny; 4. o jej cenie. Nieocenione to wskazówki dla myśliwstwa, nie potrzebujemy dodawać, iż muszą one w obecnej chwili uledz modyfikacyi, a część ich tylko jest silną i niewzruszoną prawdą.

Nakoniec część siódma traktuje: „O zasadach do prawodawstwa łowieckiego“. Podaje tu autor myśli swoje do ustalenia prawa łowieckiego i zarządu łowiectwem. W pierwszym ustępie zastanawia się nad prawem własności zwierzyny, prawem łowienia jej, nad potrzebą karania bezprawia w tym względzie, nad kłusownictwem. W drugim daje praktyczne wskazówki urządzenia istotnie pożytecznego gospodarstwa łowieckiego. — Część ta opracowana z całą troskliwością i znajomością rzeczy nie małe dziś jeszcze przynieść może korzyści.

Bogaty przedmiot poruszony w wybornem dziele Reumanna, o którem w skąpych tylko słowach mówić nam było wolno, mógłby dostarczyć wątku do wysnucia wielu jeszcze naukowych i praktycznych, a wielce pożytecznych uwag, nie naszą to rzeczą, my chcieliśmy tylko zwrócić uwagę myśliwych na pracę, którą przy całej jej dzisiejszej niedostateczności chlubić się możemy.

W końcu dla łatwiejszego orientowania się tak w dziele samem, jakoteż w naszem ocenieniu jego, winniśmy dodać, iż praca Reumanna rozkłada się właściwie na dwa główne działy, mianowicie na historyą łowiectwa i na gospodarstwo łowieckie, a dodalibyśmy jeszcze część zawiadowczą. Zdaje się nam, że autor nie z korzyścią dla jasności traktowanego przedmiotu rozdzielił go na zbyt drobne części, rzecz to jednak wobec istotnego pożytku i wysokiego znaczenia całego dzieła mniej ważna.

Książka Reumanna dziś bardzo rzadka, nie każdy myśliwy ją posiada, umieścimy więc niektóre jej ustępy w kolumnach „Łowca“.

Słówko jeszcze o osobie autora. Skąpe tylko zebraliśmy w tej mierze wiadomości, ale i one odnoszące się do drogiej nam osoby zasłużonego pracownika na łowieckiej niwie, będą dla nas cenne. Mikołaj Reumann urodził się w r. 1801, nauki początkowe i uniwersytet kończył w Warszawie. W r. 1820 wszedł do szkoły leśnej, poczem wstąpił do służby rządowej w leśnictwie, przechodził różne stopnie, był inspektorem lasów, a w końcu urzędnikiem do szczególnych poruczeń w wydziale dóbr i lasów przy komisyi rządowej przychodów i skarbu. Umarł w Warszawie r. 1858. Jako współpracownik Sylwana dostarczał temu Pismu wiele cennych artykułów odnoszących się do leśnictwa krajowego, również pisywał do Roczników gospodarstwa krajowego i Korrespondenta handlowego. Prócz dzieła, o którem daliśmy obszerniejszą wiadomość, wydał też nakładem redakcyi Sylwana niemniej ważne w swoim czasie dzieło: O naturze torfu i jego użyciu gospodarczem. Warszawa 1841, str. 140 i tablica.

J. Łoziński.

KORESPONDENCYE.

Odpowiedź syna na listy ojca. Kochany mój rodzicu! Dwa listy twoje odebrałem, drugi już miesięc upływa od ostatniego listu twojego, a dotąd nie znalazłem swobodnej chwili na odpowiedź. Nowa generacya tak ciężkie brzemię dźwiga na sobie, tyle różnorodnych ma obowiązków i zajęć, młodzież, owa reprezentantka nowoczesnych prądów i dążeń, tak czujnie musi strzedz interesów ludzkości i własnego kraju, tak szeroką rozwinąć czynność, iż na błahostki, na czcze formalności, na jakąś sentymentalną kurtoazyę, może odpowiednią dla minionych czasów, ale dziś już w obec wyższych celów wcale niepotrzebną — nie znajduje czasu. Cenię ja twoją dla mnie rodzicielską życzliwość, a rady i upomnienia, o ile one z niej wynikają, chętnie przyjmuję, ale pozwól, iż z wyższego stanowiska zapatrując się na wszystko, prześlę ci refutacyę, a może nawet i sprostowanie twych twierdzeń, nie zawsze i nie wszędzie zgodnych z dzisiejszemi wymaganiami postępu. Świat bezsilny, zgrzybiały ironicznie cytuje zwietrzałe przysłowie: „mędrsze jaja od kury“ — ma ono być srogim wyrzutem niekarności młodzieży, a jednak opiera się na psychicznej i realnej, niezrozumiałej dla starców, prawdzie. Rozczytując się i zanurzając w dziejach cywilizacyi i rozwoju ludzkości, widzimy, iż ona nie cofa się, nie zna zastoju, lecz idzie naprzód, że nasi przodkowie, których niezasłużoną sławę do niedawna tak szumnie opiewały dzieje, byli karłami w obec nas olbrzymów, którzy na ich liliputowe wysilenia patrzymy już nie z politowaniem, lecz niemal ze wzgardą. Patrz ojcze na naszą nową szkołę historyczną, jak to ona dzielnie, jak morderczo trzebieży przesądy, sentymenta i ideały naszej przeszłości, jak ona toruje nowe drogi wygodne a gładkie, iżbyśmy nie potrzebowali łamać się z zaporami, walczyć i krew poświęcać dla jakiejś mrzonki, dziś już nie mającej prawa do życia. Z takiego wyższego stanowiska pragnę ci kochany ojcze odpowiedzieć na uwagi poczynione w twoich listach i jestem pewny, że przyznasz mi słuszność, bo słowa moje będą wyrazem przewagi dzisiejszej chwili nad przeszłością! Nie list, ale całą księgę mógłbym spisać na ów temat, ale będę się już ściśle trzymał myśliwstwa, bo i ty innej kwestyi w twych odezwach do mnie nie poruszasz, i ja też lubo ciałem i duszą żyję *in publicis*, zawsze stoję twardo w szeregach zastępu św. Huberta, i pragnę w nim wprowadzić odpowiednie dzisiejszym czasom a konieczne reformy. Może to co napiszę, wyda ci się szorstkiem, bez serdecznego ciepła, bez należnego uszanowania dla osoby rodzica, ale jużto jest cechą wychowania nowego pokolenia, iż ono umie się wznieść ponad przyrodzone sentymenta, że stoi na realnych podwalinach życia, że co uzna za prawdę, wypowiada i nie waha się sprzeciwić wszelkim powagom ziemskim i nadziemskim. A więc *ad rem*, po kolei zlustruje twoje szanowny mój rodzicielu uwagi, opromienię je światłem nowoczesnych zapatrywań, uwidocznię drogi, jakiemi odtąd kroczyć powinni nasi myśliwi, a tem bardziej uczynić to muszę, iż rozgłosiłeś twe listy w Piśmie łowieckiem, które szeroko w kraju naszym między łowcami rozpowszechnione, objawia niekiedy jakieś przestarzałe, przesądne zasady, a z temi my reprezentanci nowych dążeń nie tylko zgodzić się nie możemy, ale mamy też obowiązek stanąć im wbrew i zwalczać je bronią twardszą jak stal, bo bronią ścisłego realizmu. Pierwszy twój list daje mi następujące upomnienia: Mam strzelać do wilka, gdy on już śmiertelną kulę będzie nosił w swoim cielsku. Ojcze! to hańba! mamże srogiego drapieżcę i mordercę, któregoś mnie uczył nienawidzić, tchórzliwie bezbronnego zabijać, nie występując do otwartej z nim walki? Wszak wyrzekłbyś się takiego syna, a świat łowiecki wykląłby go! — Tirbuszonem mam wyciągać korki od kul zatykające ranę u dzika, iżby farba wskazała mi trop jego. A toż ironia! Jak dziki Huron puszcz amerykańskich powinienem umieć śledzić trop zwierzyny nietylko z stopy jego, ale nawet z pochylonej trawki, z otartej gałązki, z woni wstrętnej. Pragnąłem przejrzeć wszystkie twoje napomnienia z kolei, ale już te dwa świeżo odczytane wzburzyły mi krew, poruszyły do głębi, obraziły ambicyę myśliwską. Jednym tchem przebiegając oba listy twoje, widzę w nich nie rady serdeczne, prawdziwie ojcowskie, lecz raczej urąganie z dzisiejszego łowiectwa. Żywo stają mi w pamięci opowiadania myśliwskie twoje i starych łowców, jakich tak skwapliwie słuchałem w latach moich dziecinnych, a gdy je porównuję z dzisiejszem łowiectwem, to widzę jasno, jak bardzo obecnie upadliśmy pod względem łowiectwa. Dawniej było ono prawdziwie rycerskiem zajęciem, wymagającem zdrowych nerwów, przytomności umysłu, zręczności i siły, broń palna nie wystarczała, trzeba było z dzikiem zwierzęciem iść w zapasy, narażać zdrowie i życie, toż kto od dziecka taką przebył szkołę, nie dziw, że później na polu bitwy wieńczył się chwałą, i czerstwej i krzepkiej używał starości. Jakież to dzisiaj myśliwstwo? Broń palna wydoskonalona, kilka razy strzelisz na minutę, strzał niesie na ogromną odległość, psy zwierza nie osaczają, pędzą go najęci w tym celu ludzie, a myśliwy dobrze zakryty posyła mu cios morderczy. Z animuszem rycerskim, na koniu, z kordelasem w dłoni, ścigając złaję rozsrożonych kundlów, poluje dziś chyba jakiś zacofany łowiec starej daty. Toż polowanie dzisiaj istną jest rzezią, nie uszlachetnia ciała i duszy, owszem ostudza zacne uczucia, roznamiętnia, zaprawia do bezlitości i okrucieństwa. Czyż szlachetną rozrywką są dzisiejsze łowy możnych w zwie-

rzyńcach? Jakiż takie łowy wywierają wpływ na młodzież, mającą kiedyś zająć stanowisko czynne w społeczeństwie? Jak rycerstwo na polu chwały stało się obecnie tradycyą, a walczą z sobą właściwie działa i niezliczone massy żołdactwa, a skutkiem tego liczba poległych w jednej bitwie równa się liczbie całej kampanii dawnych czasów; tak również łowiectwo naszej doby nie jest walką, lecz raczej morderczą na świat zwierzęcy wyprawą. Toż słusznie, drogi ojcze, z cierpką ironią, z szyderstwem w twych listach wyrażasz się o dzisiejszem myśliwstwie. Istotnie takimi są przeważnie nasi myśliwi, jakimi ich przedstawiasz, a najzupełniej prawdziwe są słowa twoje, któremi kończysz list pierwszy, a dosadniej jeszcze charakteryzuje ich treść listu drugiego. Prawdą jest, iż znaczna ich część nie wie nawet, jak ma się umieścić na stanowisku, że jej polowanie obojętne, bo istotnie pragnie tylko zaszczytu zetknięcia się z panami i dygnitarzami, zabicia czasu w wesołem towarzystwie, spożywania wykwintnych przysmaków na pańskich stołach, zrobienia korzystnego interesu lub wreszcie drażnienia zużytych nerwów obfitą libacyą albo karcianym hazardem. Więc taki to myśliwy korczuje las na stanowisku, wcześnie upatruje w razie niebezpieczeństwa dogodnego schronienia, zaopatruje się w wszelkie wygódki, bez jakich życia nie zna i nie pojmuje, unika wszelkiego wysilenia, żartuje z rycerskich zapędów myśliwych starej daty. Wybornie określiłeś owych myśliwych słowami: „Noś z sobą na polowanie cały arsenał, wizuj zwierzynę przez szkła i szkiełka, nie żałuj języka, by swój trafny strzał wynieść pod niebiosa, a pudło osłonić przeszkodami, jakich ludzki rozum zwalczyć nie zdoła, nie szczędź słów miodowych, z których wszakże jad tryska zabójczy, głoś sławę swoją, pomiataj cudzą, a staniesz się sławnym myśliwym“. — Na szczęście, nie czynią owi myśliwi wielkiej w zwierzostanie szkody, a gdy tam kiedyniekiedy Pan Bóg ich kule w zwierzynę poniesie, to już na wszystkie cztery strony świata brzmi ich łowiecka chwała! O takich to łowcach mówisz w twych listach, drogi ojcze, takich słusznie piętnujesz, bo radbyś, iżby się wróciły dawne złote czase łowiectwa. Niestety, minęły one niepowrotnie, obyśmy przynajmniej często mieli wierny ich obraz w Piśmie naszem, i rozgrzewali stygnące serca nasze tradycyą chwalebniejszej pod każdym względem przeszłości!

Ale gdzież to się zapędziłem? Zamiast wysnuć, jak u wstępu przyrzekłem, ze stanowiska dzisiejszego postępu racyonalne i realne dla łowiectwa wskazówki, zamiast wykazać wyższość w tym względzie teraźniejszości nad przeszłością, zamiast stoczenia walki z dawnemi przesądami i teoryami na tem polu, stałem się przeciwnie obrońcą ich, a jakoby stary wiarus chwalcą minionych rycerskich zapasów. Stało się, *dixi et salvavi animam meam*, obudziłeś, kochany ojcze zamarłą już prawie strunę w sercu mojem, zabrzmiała ona przygłuszając wrzawę młodzieńczych rojeń o nowych tylko realnych prądach i dążeniach, może to ostatni oddźwięk ideałów. które w nas niedawno jeszcze zaszczepiano, a teraz z całą usilnością zorganizowana straż pożarna zagasić się stara. *J.*

Myszkowce, 29. Grudnia 1880.

Polowałem tymi dniami na dziki, a że polowanie było niezwykłe, gdyż każdy z obecnych dziewięciu myśliwych w jednym miocie najmniej dwa razy, a jeden strzelec ze służby strzelał sześć razy do dzików z kapslówki, postanowiłem więc opisać to polowanie w Łowcu.

W nocy 26. Grudnia dostaję list od Adama Wiktora, właściciela Załuża, w którym mnie wzywa, abym jak najprędzej przyjeżdżał, gdyż ma otropionych 15 sztuk dzików. Prócz mnie zaprosił czterech sąsiadów. O trzeciej w nocy wyjechałem, a gdy rano do Załuża przybyłem, zastałem gospodarza domu zmartwionego, ponieważ jeden z sąsiadów zaproszonych z powodu zaziębionego kataru nie mógł przybyć, drugiemu inny mankament nie pozwalał opuszczać łóżka. Ja moich ludzi i psów nie wziąłem. Nie było myśliwych, a tu tyle dzików, co robić? Uradziliśmy uzbroić każdego, o kim choćby niepewne chodziły wieści, że coś kiedyś zastrzelił, i tym sposobem zebraliśmy dziewięciu strzelców, a więc dostateczną liczbę, ale jakich? Przybywszy do kniei, obstawiliśmy skrzydła gońcami, a gdy pogonka ruszyła, puściliśmy psy. Dziki rozbiły się na dwa stada, po dziesięć i pięć, i tak wyszły na linię. Gdy padły pierwsze strzały, wróciły w miot, rozprysnęły się i biegały od myśliwego do myśliwego pędzone przez psy i pogonkę. Rozpoczęła się strzelanina, padło niezwykle wiele strzałów. Po skończonym miocie okazało się, że gospodarz zabił ładną samurę, ja warchlaka, inne strzały w liczbie przeszło dwudziestu były chybione, jednej tylko grubej sztuce strzaskano kulą racicę i za nią poszły psy daleko, może na parę mil. Reszta dzików pomknęła przez pola i lasy światami, i już ich w dalszych miotach nie znaleźliśmy. Gdyby sąsiedzi A. Wiktora nie pieścili się i przyjechali byli, to miot ten byłby ich ozdrowił, a tak chorym sąsiadom i zdrowym fuszerom zawdzięczają dziki, że przestraszone mocno ale zdrowe będą mogły od lisa w Poturzycy, który jak hr. L S w ostatnim numerze Łowca twierdzi, czytuje Łowca, dowiedzieć się, co o szanownej tej rodzinie dzików napisałem.

W pierwszych dniach Grudnia goniłem psami i ludźmi dwa niedźwiedzie na granicy Węgier w Zubraczym. Mimo 10 stopni zimna i śniegu nie były w gawrze, snać przeczuwały, że jeszcze zimy nie będzie. Lubo nie żałowałem trudów w celu spotkania się z nimi w kilkutysiąco-morgowej, skalisto-górzystej kniei, nie zszedłem się z nimi z powodu szalonej zawierzuchy, która zawiała tropy. Jadąc na to polowanie zabiłem po drodze lisa i zająca, a następnie rano, nim wysłani ludzie z obszladów wrócili, wypędziłem za pomocą psa i ludzi koło dworu w Zubraczym z starej rozerwanej tamy młyńskiej trzy wydry, i ubiłem je. Początek pomyślny zawiódł moje nadzieje, koniec bowiem był zły, dzików nie było, a niedźwiedzie uszły niestrzelane. *Teofil Żurowski.*

Od ujścia Wisłoki, 28. Grudnia 1880.

Jako naoczny świadek niezwykłego wypadku, przesyłam opis jego do Łowca. Było to w Październiku b. r. 1880 — wyszedłszy po południu w pole, gdzie zaprzęgi moje zajęte były orką tak zwanych „Ziembli“ pod jarzynne zasiewy, stanąłem na chwilę na wale (grobli) ochronnym od wylewów Wisły, i spostrzegłem, jak z nory w tymże wale się znajdującej wyszła podskakując zwykła łasica *(foetorius vulgaris)*, i gdy już na dosyć znaczną odległość od swej kryjówki się oddaliła, stanęła słupka na tylnych łapkach rekognoskując sytuacyę, nie wiedząc, nie przeczuwając, jak krwawą walkę wkrótce jej stoczyć wypadnie, jak okropne czeka ją przerażenie. W kilka sekund później, gdy w dalszym biegu poczęła łasica podskakiwać, rzucił się na nią z błyskawiczną szybkością szybujący wysoko w powietrzu jastrząb gołębiarz *(astur palumbarius)*. Z piskiem poczęła przestraszona łasica uciekać, ale rabuś wstrzymał ją, zmusił do walki, wreszcie porwał w szpony i uniósł wysoko. Osłupiały stałem i ścigałem wzrokiem ową parę aeronautów, wznoszącą się w górę na 120 metrów, a może i wyżej. Byłem pewny, iż biedna łasica w szponach drapieżnika

już duszę wyzionęła, aliści nagle przedstawia się memu zdumionemu oku nader ciekawy i niezwykły widok. Jastrząb pewny swej zdobyczy równym lotem sterował ku lasowi, już w Królestwie Polskiem położonemu, gdzie zapewne miał nadzieję uraczyć się z całą swobodą smacznym kąskiem, wtem lot jego staje się na chwilę niepewnym, ale po chwili nieco mniej równym i szybkim lotem żeglował w tym samym kierunku. Następnie zachwiał się po raz drugi, już się nie poprawił, owszem przekoziołkował raz, drugi i trzeci w powietrzu, wreszcie spadł z obwisłemi skrzydłami. — Przekonałem się następnie, że zrospaczona łasica z wytężeniem wszystkich sił swoich stoczyła w powietrzu heroiczny, straszny, krwawy i ostateczny ale zwycięski bój z wrogiem swoim. Chwyciwszy go swymi cienkimi, lecz ostrymi i twardymi jak stal zębami pod gardziel, gryzła tak skutecznie, że jastrząb w końcu padł nieżywy, ona zaś żywa, zdrowa i wesoła w podskokach podążyła do swojej nory, gdzie niezawodnie dziękczynne za ocalenie swego życia, uroczyste powinna była zaspiewać: „Te deum“!

Roman Rydel.

KRONIKA.

Tarnów, 5 Stycznia 1881.

Czytając w „Łowcu“ rozprawę p. Remiszewskiego „o słonce“, nie znalazłem w opisie słonek odmiany mniejszej, wzmianki o bardzo charakterystycznem znamieniu, jakie dostrzegłem na okazie zastrzelonym przed kilku laty w Rzędzińskiej-Woli pod Tarnowem. W małym gaju sosnowym zastałem był dnia jednego kilkanaście słonek nie o wiele większych od dubelta. Pomimo wielkiego gąszczu jedną z nich zabiłem, gdy nieznanego mi dotąd karzełka oglądać począłem, zwróciła szczególnie uwagę moją obwódka około oczów jego w kształcie obrączki, barwy czerwonej, podobnej do piórek na główce szczygła. Taką samą słonkę zabił także przed kilku laty p. Setmayer, radca magistratualny koło Tarnowa. Chociaż polowałem na słonki w różnych okolicach kraju naszego, to jednak nie widziałem nigdzie przedtem tak małych okazów z owem czerwonem zabarwieniem około oczów. Spotkałem ich, jak wyżej wspomniałem, jednego dnia 12 do 15 sztuk, większych między niemi nie było wcale. Po kilku dniach zastałem w tym samym gaju znowu 5 do 6 słonek, lecz były to już egzemplarze zwykłe, owe zaś karły już powędrowały dalej. Wątpię, żeby owe czerwone okulary miały być tylko przemijającem zabarwieniem młodych słonek zwłaszcza, że w Sanockich górach miałem sposobność oglądania młodej słonki wyjętej z gniazda, jeszcze nie lotnej, na której owego czerwonego ubarwienia około oczów nie było. Cieszyłoby mnie, gdyby kto z myśliwych to spostrzeżenie moje zatwierdził, a nie omieszkam przy pierwszej sposobności taki okaz słonki przesłać do zbioru ornitologicznego JW. hr. Dzieduszyckiego.

W okolicy naszej obfitującej w latach poprzednich w zwierzynę, nie było tego roku wcale na błotach kszyków i dubeltów, kuropatw mamy mniej, zajęcy bardzo mało i to albo stare albo późne. Nader suche lato, brak wody nie sprzyjały rozmnożeniu się zajęcy, natomiast częściej niż dawniej spotkać można lisa. *Jan Kornicki.*

Słomiana, 22 Grudnia 1880.

Uiszczając się z danego przyrzeczenia, przesyłam opis mego zegarka kontrolującego straż leśną. Jak ważną jest kwestya dozoru i kontroli służby leśnej w ogóle ze względu na rządną i racyonalną administracyę, tak zbytecznem byłoby dowodzić, że racyonalna administracya opiera się na ścisłym dozorze i umiejętnem wyzyskaniu pracy. Zegarek mój odda niezawodnie istotną usługę w każdej gałęzi gospodarstwa i przemysłu, gdzie tylko idzie o ścisły dozór i dokładną kontrolę tegoż. Tylokrotnie już „Łowiec“ żalił się na niemożność zniewolenia służby leśnej do ścisłego i nieustannego wykonywania swoich obowiązków, jakoteż na brak kontroli nad ową służbą leśną: sądzę, iż mój zegarek usunie tę trudność. Rysunek jego oddałem zegarmistrzowi, by z niego wykonał pierwszy egzemplarz jako wzór, muszę przeto ograniczyć się w tej chwili na opisie tylko. Pierwszy egzemplarz nie mało sprawił w wykonaniu trudności z powodu mechaniki, koszt też był znaczny, lecz egzemplarze do rozpowszechnienia wyrobi już fabryka z wielką łatwością, a koszt takiego zegarka wyniesie zaledwie kilka reńskich. Zegarek ten umieszczony w drzewie lub na słupie ma 10 cm. długości, 8 cm. szerokości a 6 cm. grubości, nakręca się go kluczykiem raz w tydzień. System jego prosty, sprężynowy, dwa w nim są otwory, w jednym pociśnięcie guziczkiem, papierem podklejonym na wałeczku umocowanym, wyciska miejscowość i dzień tygodnia, w drugim godzinę i datę miesiąca. Guziczki te wkręca gajowy w pas od torby dla wylegitymowania się z odbytej służby w obec zwierzchnika za dnia, wieczorem zaś przybywszy do owego zwierzchnika z raportem wkręca te guziczki czyli pieczątki odbite w tablicę z mapą na ten cel urządzoną, iżby wkręcane przez cały miesiąc uwidaczniały ściśle wykonywaną służbę leśną. Leśniczy rewirowy musi być przynajmniej raz w tydzień na każdej stacyi w celu nakręcenia zegarka i odbicia dla siebie potrzebnej ilości pieczęci, a czyni to też i nadleśniczy. Tym sposobem służba leśna w całym swym zakresie może być dokładnie kontrolowaną, a właściciel rewirów sprawdza ją na tablicy. *N. Sufczyński.*

Wyjazd ze Lwowa do Cylicyi pod przewodnictwem Karola Brzozowskiego nastąpi nieodwołalnie dnia 6 Lutego r. b. W wyprawie tej myśliwskiej biorą udział:

Drohojowski Józef hr.
Drohojowski Kazimierz hr.
Hulimka Aleksander.
Potocki Artur hr. (z Buczacza).
Starzeński Leopold hr.

Sprostowania: W artykule umieszczonym w 1. Nrze b. r. hr. M. Tyszkiewicza w ustępie: „w stajni trzymany być nie może jak *i*, reszta chartów, wymazać *i*, które zmienia właściwe rzeczy znaczenie. W końcu tegoż artykułu w ustępie: „Pan Gr. już *z nami* nie pojechał“, zamiast *z nami* czytać trzeba *za nimi*.

W artykule umieszczonym w 12. Nrze „Łowca“ r. z. pod tyt. Towarzystwo myśliwych im. św. Huberta w ustępie rachunkowym poprawić należy: *za strzałowe 57 złr. 10 ct.*“ liczbę 57 na 5, iżby się czytelnikowi nie zdawało, że to Towarzystwo płacąc stosunkowo dosyć znaczną summę za strzałowe nie ochrania, lecz raczej tępi zwierzynę.

Według doniesienia z Metz z 5 Grudnia liczba zwierząt drapieżnych w Lotaryngii jest ogromną, jak dowodzi wykaz urzędowy ubitej zwierzyny w okręgu leśnym Metz od d. 1 Kwietnia 1879 do 1880 roku. W owym przeciągu czasu zabito w lasach rządowych, gminnych i prywatnych 52 wilków, 406 dzików, 580 lisów 29 żbików. Według sprawozdania pozostało tam jeszcze wiele wilków, przechodzą one z sąsiedniej francuskiej Lotaryngii i z Ardennów zwłaszcza, że prześladowanie ich po stronie francuskiej nie jest energiczne. Zresztą przyczyniają się do tępienia ich po stronie niemieckiej premije strzałowe, mianowicie płaci się za wilczycę 12, za wilka 9·60, za wilczę gniazdowe 4·80 marek. Liczba dzików znacznie się zmniejszyła w ostatnich czasach. *Jagdzeitung.*

Płotycz, 17 Stycznia 1881 r.

Bardzo żałuję, iż nie poszedłem za słuszną w „Łowcu“, wyrażoną wskazówką, i polowałem w tym dla zajęcy krytycznym roku w bardzo ładnej kniei podolskiej, w której przed dwoma laty na jednem polowaniu zabiliśmy 80 sztuk. Obecnie przy bardzo lichem strzelaniu bo na 152 strzałów ubiliśmy 48 zajęcy, 2 lisy i 2 kozły, a pewny byłem, że najmniej 100 sztuk padnie. Nie wiedziałem polując o przestrodze w „Łowcu“ wyrażonej. *J. Korytowski.*

Kutkorz, 24 Grudnia 1880.

Kilka małych polowań u nas nie przyniosły wielkiego rezultatu ubito 50 zajęcy, 6 lisów, 5 bażantów, 7 rogaczy. Szczęśliwsze były łowy na ptaki drapieżne, bo w tym miesiącu złapano na samotrzask 8 jastrzębi gołębiarzy *(falco palumbarius)*, 1 puhacza i dwa duże orły. Młoda

żywa wydra ułowiona nad stawem, chowa się ułaskawiona, a nawet aportuje. *Nadleśnictwo.*

Na polowaniu w Gumniskach u księcia Eustachego Sanguszki zabito w dniach 18 i 20 Grudnia z. r. w 12 strzelb 140 zajęcy, 5 rogaczy, 5 lisów i 11 kuropatw — wszystko w polu.

Dyrekcya lasów dóbr ordynacyi Łancuckiej przysyła nam sprostowanie do sprawozdania z polowań odbytych w tejże ordynacyi, umieszczonego w grudniowym numerze „Łowca“ r. z. Podano tam: „jeden z panów myśliwych sam zabił w jednym dniu 10 lisów“. Stało się to nie na październikowem polowaniu, o którem sprawozdanie mówi, lecz przed dwoma laty.

Dnia 4 Stycznia r. b. polowano w Gwoźdźcu u kniazia Romana Puzyny, padło 62 zajęcy, lisów 2 w 20 strzelb na strzałów około 200. — Dnia 5 Stycznia odbyło się polowanie w Starym Gwoźdźcu u hr. Stanisława Dzieduszyckiego, ubito 50 zajęcy, lisów 5 na tyleż strzelb i mniej więcej tyle strzałów.

Dnia 13 Stycznia b. r. o godzinie 6 naczelnik stacyi kolei Czerniowieckiej w Stanisławowie p. Heinrich otrzymał telegram, iż w nocy z 12 na 13 pod stacyą Markowce, ośmnaście wilków napadło na budkę kolejowego dróżnika Skibińskiego, i długi czas trzymały go w takiem oblężeniu, że ten wyjść nie mógł do służby. Dróżnik zabił dwa wilki, reszta nad rankiem rozpierzchła się do lasu. *Gaz. nar*

Z nad Sanu.

Szacowne i wielce pożyteczne Pismo wasze podaje, że we wszystkich niemal częściach kraju naszego skarżą się na znaczny ubytek sarn i zajęcy w ubiegłym i bieżącym roku. Mroźna, śnieżna przeszłoroczna zima i zabójcza choroba wątroby motylica zdziesiątkowała tę zwierzynę w kniejach na równinach, czyli mówiąc po naszemu „na dołach“ położonych. My w górach tej choroby nie znamy, bo nasze knieje górskie nie zmuszają tej zwierzyny do żerowania po moczarach, których trawa zwykle powleczona mułem, kolorem i właściwością do rdzy żelaznej podobnym, który nie tylko sarnom i zającom, ale też bydłu rogatemu, owcom i kozom nader jest szkodliwy. Głównie chroni u nas zwierzynę od tej choroby drzewo świerkowe, którego wy na równinach nie macie. U nas jest ono pospolitem, a nawet przeważającem, sarny i zające w lecie, jesieni i zimie chętnie ogryzają młode pędy świerkowe, i nie tylko się tem żywią, ale też ochraniają od wielu chorób. Młode latorośle świerkowe posiadają wiele woni i goryczy, podobnej nieco do chiny zawartej nie tylko w młodej korze drzewa, lecz także w żywicy mieszczącej się w pączkach nierozwiniętych jeszcze. Sadźcie w waszych kniejach drzewa świerkowe, a ręczę, że sarn i zajęcy będziecie mieli wiele. U nas w górach zajęcy zwykle mało, natomiast sarn obecnie bardzo wiele, nie nasza w tem zasługa, lecz raczej położenie lasów i świerków. *M. L.*

Pewien starannie wychowany i wykształcony, bogaty posiadacz dóbr w Anglii przybył do Galicyi w celu poznania naszego kraju i łowiectwa. Podczas kilkudniowego pobytu we Lwowie zwidzał nasze instytucye naukowe. Mieliśmy sposobność bliżej się z nim zetknąć i dowiedzieć od niego o nader ciekawych szczegółach łowieckich. Zna on myśliwstwo swego kraju dokładnie, również niemal całej Europy, polował nawet na wszelką zwierzynę w Ameryce. Któżby sądził, iż taki wytrawny i bywały myśliwy wyżej postawi nasze łowiectwo nad wszelkie inne? Z zdziwieniem słyszeliśmy wypowiedziane przez niego zdanie, iż z zachwyceniem (naturalnie po angielsku chłodnem) patrzał na naszą przyrodę, zupełnie odmienną od tych, jakie zna, a przepiękną i wspaniałą; używał rozkoszy myśliwskiej, o jakiej lubo w tym względzie doświadczony nie miał pojęcia. Z tego powodu zatrzymuje się w kraju naszym dłużej, jak postanowił, i obecnie rusza w góry na niedźwiedzie.

Dodajemy tu próbkę stylu niemieckiego najstaranniej wychowanego Anglika, znającego europejskie języki, bo Anglicy jak wiadomo namiętni turyści. Ów Anglik przesłał list, który tu cytujemy: „*Ich habe die Ehre und auch die Vergnügung ihm zu benachrichtigen von der Wildschwein, dem sie für mich nach Paris expedirt habe. Der Schwein ist gut angekommen, und ist auf der Tisch der Herzogin — de G. gesezt bei ein diner von 30 Person. Es hat algemaines Wohlfallen gegeben, von wem ich ihnen um 50 mehr gern benachrichtige, weil ich glaube Hernn W. hat an ihnen schön geschrieben darüber.*“ — Można się zgorszyć niepoprawnością stylu i pisowni, ale nie można tego brać za złe, bo ostatecznie Anglicy umieją wszystkie narody wyzyskać dla swoich celów moralnych i materyalnych, i imponują praktycznością w każdym względzie.

INSERATY.

Są do sprzedania **dwa kundle** ułożone na dziki.

Poszukuje się młodych jeleni.

Bliższa wiadomość u Sekretarza Tow. łow.

OGŁOSZENIA.

Łapek żelaznych na zwierzęta drapieżne:



na wilki, dziki, lisy, kuny, wydry, koty, niedźwiedzie, na ptactwo drapieżne, dostarcza **dla najdalszych nawet okolic** z dawna znana i ceniona fabryka łapek **Adolfa Piepera w Mörs nad Renem.** Illustrowany cennik nadsyła po przysłaniu marki pocztowej.

J. URBANOWSKI

W BRODACH

poleca

broń odtylcową systemu **Lankaster,** kal. 16.

dubeltówki (lewka w amerykański sposób wiercona), po 38, 48, 50, 60 i złr.;

dubeltówki z rurkami Piepera po 70 do 100 złr.;

rewolwery Lefaucheux, jasno polerowane, niklowane, grawirowane:

kal. 5 od 6 do 10 złr.

„ 7 „ 3 „ 10 „

„ 12 „ 4 „ 10 „

rewolwery centralne, czarno zapuszczane od 7—12 złr.;

karabiny systemu **Flobert,** 6 i 9 m. od 10—18 złr.

Patrony próżne do lankastrówek, patrony do rewolwerów nabijane kulami i śrótem i przybory obliczam po cenach fabrycznych.

Broń wysyłam za zaliczką i przyjmuję takową napowrót w przeciągu sześciu dni, gdyby się odbiorcy nie podobała.

Krople amerykańskie na ból zębów

Hipolita Majewskiego

w Warszawie

Skład u sekretarza Towarz. łow.

Redaktor: **Józef Łoziński.** Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie. Hotel Zorża.